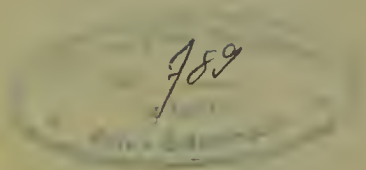
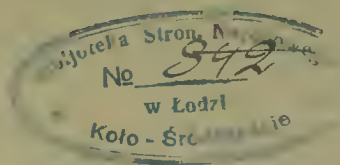
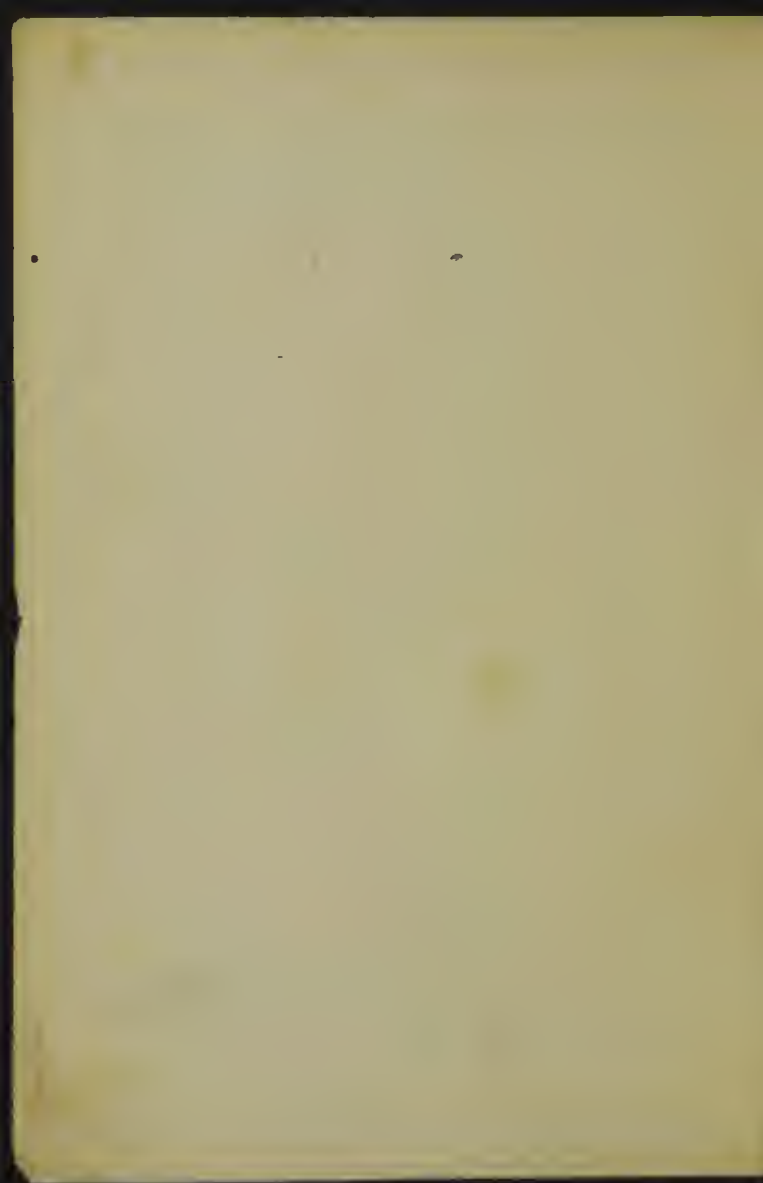






- 785





J. H. Hopyyiohi.

- 789

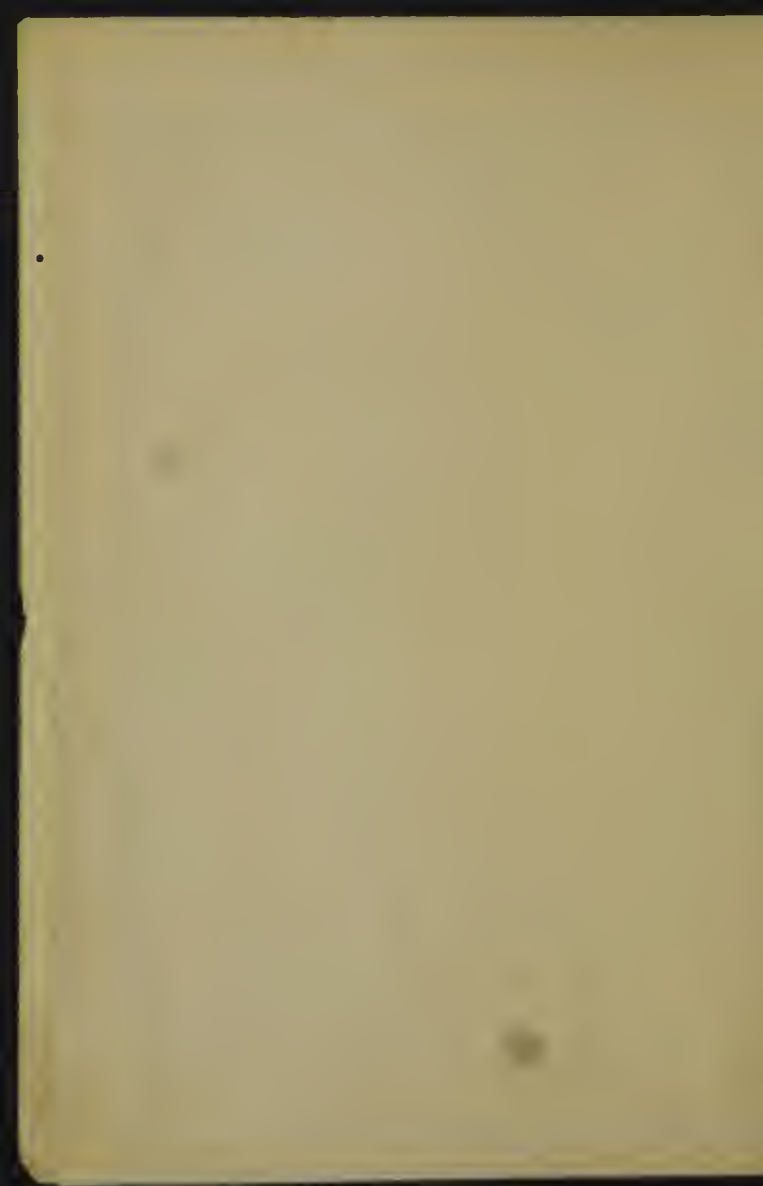
WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom czterdziesty pierwszy

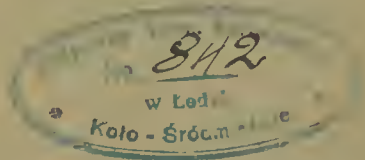


ZADORA.

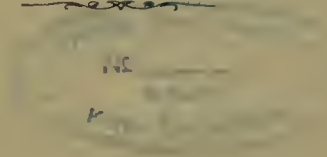
HISTORIA Z KONCA XVIII WIEKU.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.



—————



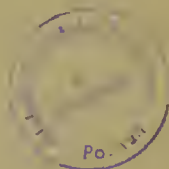
WARSZAWA.

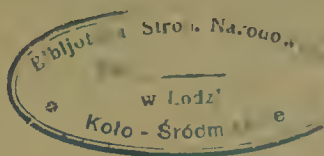
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1885.

Крас-2181

Доводено Цензурою.
Варшава, 31 Января 1885 года.





Stary wąsaty mężczyzna w lisiurze. typ u nas bardzo pospolity dawniej, a i dziś jeszcze po wsiach dający się spotykać, siedział na kłodzie w lesie, obok młodego chłopaka.

Stary. był. jakesmy powiedzieli. pospolitym typem. już i przez malarzy naszych wielokrotnie powtarzanym. zdrowego szlachcica w drugiej połowie, takiego który wypija chętnie kielich wódki. zmiata bigos. może podolać pół kopie jaj na twardo, strzela doskonale i dobrze się zna na koniach. Takie przynajmniej robił wrażenie ów siedzący na kłodzie w lisiurze, długich butach, z borsuczą torbą na plecach. w czapce na bakier pan Stefan Drobisz. onego czasu koniuszy i po troszę łowczy księżnej Sapieżyńskiej. która koni mało co trzymała wówczas w Kodniu, a polowanie odbywała tylko na kapitały szlacheckie w nieustannej będąc potrzebie pieniędzy, które trwożyła.

Gdy ich nie mogła dostać u szlachty nalegała na króla. i pogniewawszy się formalne nań knowała spiski. Ale to nie należy do rzeczy.

Pan Stefan Drobisz był naówczas w Kodniu niby koniuszym. Sam się dodatkowo kreował Łowczym. a przy niezmiernym rozgardjaszu, jaki panował w do-
brach J. Ks. Mości. musiał pełnić w naglących rzeczach. mnogie inne obowiązki.

Sam IMPan Strażnik Koronny, który tu grał pod te czasy wielką rolę, i pan Jenerał Brygady Wielkopolskiej, druga prawa ręka książęcej wojewodzicowej, gdy przybywali do Kodnia. pana Stefana witali acz prostego szlachcica. bez tytułu. bez znaczenia—jak pana brata.

Ale bo też pocziwy Stefan, nawet książęnie i w ogóle nikomu sobie imponować nie dawał.

Miał czyste smnienie, niczyjej łaski nie potrzebował, gdyż życie wiódł skromne i obyczaję miał surowe; więc nie lękał się nikogo, a jak on niegrzecznie powiadał sam, o nikogo nie dbał.

Podśpiewywał nawet czasem znaną piosenkę:

A jam sobie pan, pan...

O nikogo nie dbam, dbam.

Rym w tym starym utworze poetyckim zostawuje do życzenia nieco, ale sens moralny. — daj Boże by go każdy mógł wziąć do serca.

Był to w swoim rodzaju filozofii, choć o filozofii mętne miał wyobrażenie; zasadzał mądrość na tem. aby jak najmniej potrzebować i przez to być jak najniezależniejszym. Miał w tem Diogenesową metodę. choć o Diogenesie nie wiedział i nie słyszał.

W rzeczach nanki i rozumu admirując wielce ks. Infulata, gdy przy stole mawiał o monarchii assyryjskiej. o Marku Aurelinszu. o Chinach i t. p. (bo był mąż eruditus)—nigdy pan Stefan nie pozazdrościł mu tych wiadomości. i nie czuł ich potrzeby.

Czuł, że rozumu i wiedzy na swój użytek miał—jak się wyrażał stylem czasu „samoprawie.“ Znaczyło to tyle co—„w samą miarę.“

Zawsze w dobrym humorze. do wszelakiego zajęcia żwawego gotów. na posyłkę do lasu, na jarmark. po pieniądze. po sprawunki; nie ulegając prawie zmianom atmosferycznym, na które zupełnie był obojętnym. znosił chłód, głód, smród i brud (są jego wyrazy)—z najzupełniejszą obojętnością.

Spojrzeć było na jego twarz rumianą śmiejącą się, na oczy niebieskie i jasne i wytrzeszczone, na postawę silną i zręczną, mimo pięćdziesięciu i kilku lat, aż się człowiekowi zdrowo robiło.

Kawaler, pan Stefan wolny swój stan nader wysoko cenił i kobietom, które nań oddawna różne zastawiały sidła, a na dworze księżnej było ich siła, pięknych i bystrych!—wywijał się całując rączki, robiąc przysłużki, ale do sakramentu — nie dając się zaciągnąć.

Potrząsał głową — nie terażniejszych to czasów się żenić! mówił, dobrze było dawniej, dziś — a mnie na co!

Że był wesół, zabawny, grzeczny, fraucymer księżnej lubił go, a każdej z jejmościanek się zdawało—a nuż? Żadna tego nie dokazała.

Potrzeba było obrony, pomocy, odporu—opieki,—stawiał. — po za tem—sługa nniżony!

Lubili go i szacowali wszyscy, bo był jak serca wielkiego, tak bezinteresowności niesłychanej. Trzymał na stajni cztery konie, na które mu dawano obrok książęcy, frymarczył niemi, a że się znał, zarabiał, grosiwo więc miewał, choć pensya ze skarbu, żał się miły Boże, jak dochodziła! Z tego grosza już by był mógł dojść do nieszpętnego kapitaliku, a był goły, bo co miał to poroztykał.

Za to go też kochano, nie tylko w Kodniu, ale cała szlachta bogatsza i uboższa, ktokolwiek go znał.

Gdzie pan Stefan nauczył się fajkę palić, co na owe czasy pospolitem nie było — tego nie wiem, ale palił ją.

Za Sasów n nas, przez naśladowanie Augusta II, który smałił mocno, weszła ona powoli w modę. Palił turka król Stanisław Leszczyński, palił i August III. Rozkoszy tej tytuniowej nie każdy sobie mógł pozwolić, bo innego tytuniu nad turecki i grecki nie znano; ale z Konstantynopolem i prowincjami były przez Kamieniec podolski stosunki i tytuń przywożono, choć dosyć był drogi. P. Stefan na to jedno nie żało-

wał. Palił. rozumie się w domu, porządnie. z długiego cybucha. i obchodził się z całym przyrządem fajkar-skim bardzo oględnie.

Śmiał się sam ze swojego nalogu, narzekał nań— ale go nie porzucił.

Właśnie w tej chwili na kłodzie siedząc i spoczywając po polowaniu, dobywał średniej wielkości cybucha z bursztynem, fajkę stambułkę i zabierał się nakładać.

Na tę ważną operację patrzył towarzyszący mu młodzieniec. z pewną ciekawością, bo pan Stefan dokonywał zadania uroczyście i z aplikacją wielką.

Nim koniuszy fajkę nałoży, my mamy czas przy- patrzeć się jego towarzyszowi.

Był to, jeśli nie piękny, to bardzo przystojny mężczyzna, samo zdrowie. młodość i siła. Wzrostem dorównywał koniuszemu. tylko cieńszy był i zwinniej- szy. bo zapewne trzydziestu lat nie miał.

Ubrany w krótki kożuszek czarny, buty myśliw- skie. torebkę miał siatkową. czapeczkę snkienną i nie odznaczał się elegancją. Fuzyjka, która przy nim sta- la. także nieosobliwie wyglądała. Twarz jednak za- sługiwała na baczność. Ani piękna. ani brzydka. ry- sów niby pospolitych, które się opisać nie dają. w ca- łości swej odznaczała się wyrazem rozumnym i powa- gą nad wiek.

Tej buty szlacheckiej jaką naówczas piętnowały się wszystkie karmazyny. śladu w nim nie było, raczej smutek jakiś i cicha pokora, która jednak w słabość nie przechodziła. Nie wyzywał, jak inni, ale widać by- ło. że wyzwany by płacn dostał.

Niewielkie oczy wsadzone dosyć głęboko, miały wyraz taki przenikający, że ich wzrokowi nie każdy dotrzymał.

Twarz okrągła, nie była piękną. słońce i powie- trze opaliły ją. płu nie miał świeżej, a pomimo to. choć wielu od niego nierównie przystojniejszych na dworze księżnej wojewodzinowej się przesnwało, nikt takich łask nie miał u fraucymeru jak pan Jacek Za-

dora... Zwali go jedni Zadorą. co jest. jak wiadomo nazwiskiem herbu szlacheckiego. drudzy Zadorskim. Pozwalał się zwać jak chciano.

Nakładanie fajki systematyczne. poprzedziła wódka i wędlina. myśliwi nasi nie głodni, odpoczywali dopóki by reszta towarzyszków ich nie nadciągnęła, a pan Stefan stary gawędził.

Jak zawsze słowom jego towarzyszył uśmiezek dobrodusznego, kwiat spokoju. który Drobisz miał w duszy.

— Tak, tak. Jacu-siu moj, mówił, jak Bóg miły radę ci daję dobrą. Jesteś nieśmiały — w życiu to wiele szkodzi. obcesowo się trzeba brać i do ludzi i do losu, inaczej zawsze będziesz zepchnięty w ostatnie rzędy.

— Ja też do pierwszych nie aspiruję — odparł Jacek.

— Widzisz. że i ja się nie drapię do góry — mówił Stefan — psu na budę się nie zdały wielkości wszystkie! Dobrze starzy mówili. im kto wyżej siedzi tem mocniej się poci — ale — ale! — powtórzył — co innego jest dobijać się — dudka na kosciele a co innego sobie wygodne usłać łożo. choć skromne... Ty bo oto trzeci rok u nas, i zawsze przy kancelaryi, na niewielkiej pensyjce, jeden konik. gratyfikacya rzadka. a Strażnik ci z pisaniem nie daje wytchnąć. Czas by pomyśleć o jakiej krescytywie...

Jacek oczy spuścił.

— Mnie i z tem dobrze! — rzekł.

— A. no — jak ci dobrze! Żeś szczęśliwy. i dodam, rzadki na prawdę człek! Nas pono dwóch co nie stękamy. choć byśmy wielkie prawo mieli.

Wypuścił kłęb dymu z fajki pan Stefan i dodał:

— No. powiedz-że mi — a o ożenku nie myślisz?

Mrugnął jednym okiem.

Zadorski zżywał ramionami.

— Śmiesznem by to było — rzekł — nie mam z czem! Pan Koniuszy także nie żenił się i nie żałujesz tego!

— O! jak Bóg miły, nie żałuję. rozśmiał się stary. — Kto terazniejsze niewiasty poznał. i napatrzył się ich, do sakramentu ochoty mu nabrać trudno! Śliczne one są. a słodkie, a przylepki. a wymustrowane. a elegantki — kochać to by się chciało we wszystkich. ale one na pociechę oczów nie dla serca stworzone. Zdrada chodząca... Litość bierze patrzeć, nie wiedzą nawet co czynią, a. ot, tak, — żadnej wierzyć nie można.

Pan Jacek się usmiechnął nie zupełnie potwierdzając to zdanie.

— Żebyś pan Koniuszy nie miał za złe to bym stanął i w obronie ich — rzekł.

— W Warszawie i po pańskich dworach, co ich jest to — motylce, a no po wsiach i dworach szlacheckich cale co innego.

Koniuszy pomyślał trochę.

— A może to i prawda — rzekł. ale z taką niewiastą starego autoramentu trzeba też siać w kącie na zagonie i rzepe skrobać. Boga chwalić i z chałupy się już nie ruszać.

— Nie byłoby w tem nic złego — dodał p. Jacek.

— Hm! co komu do gustu! — odbąknął stary. Milczeli chwilę. aż Drobisz dodał:

— Więc asindziej gdzieś na szlachecki dworek masz oczy — począł — przyznaj się! Nie może to być, aby młody człek w sercu do kobiety coś nie czuł. prawo natury. Ja sam, jak ty mnie widzisz, szalałem. a tylko przez osobiliwe miłosierdzie Boże nie ożeniłem się gdym chciałem, a potem!! ho! ho! już mnie, gdym do rozumu przyszedł. niczem nie było można zbawić.

— Ja ani o dworku. ani o żadnej kobiecie nie myślę! — rzekł Jacek — słowo panu daję.

— No! no! a Łowczanka? — zapytał Drobisz.

Jacek się zarumienił i żywo ruszył na pniaku.

— Gdzież mnie o niej myśleć! — krzyknął — gdzie!

— Ho! a toż czemu? że nie majątny jesteś? Ta toż nie zbyt wielka pani. choć rodzice zamożni; i — powiadają, że tam łaski masz...

— Powiadają! — zaprotestował jakos podrażniony Zadorski. Ludziom aby gadać, mnie się o tem nie śniło! Łaski! jakie tam łaski! Ludzie zacni i dobrzy. przyjmują w domu wszystkich gościnnie. więc i mnie, choć chudego pachółka. Z Łowczym w warcaby gram. (rozśmiał się) i tyle wszystkiego.

— No — to i dobrze! — zawołał Koniuszy — byles z panną też w jaką grę się nie puścił. jeżeli się żenić nie myślisz, jak powiadasz, gra nie była niebezpieczna. Basia, to słiczna i rezolutna, ale bodaj żeby na tę Barbarkę w przysłowiu, nie wyrosła! Śmiało patrzy, mówi śmiało, z oczów jej widać, że jej lada co strachu nie napędzi. a jak pokocha — to nie popuści!!

Jacek się słuchając uśmiechał, ale nie wesoło...

Była chwilka milczenia.

— Powiedz-że ty mnie, bom ja się o to ciebie nigdy nie pytał — odezwał się Drobisz — masz ty rodzinę? gdzie zkąd się wieszysz? Nic nie wiem.

Pytanie to, choć nie dał po sobie widocznie poznać Jacek, zdawało się go mocno mieszać.

Zamilkł patrząc w ziemię.

— Sierota jestem — rzekł po chwili — sierota — rodziny nie mam. Wychowałem się w Bialskiej akademii, gdzie szkoły skończył łaską dobrodziejów...

Gdy to mówił, rumieniec go oblewał i Koniuszy postrzegłszy, że mu zrobił przykrość, zaraz ją chciał naprawić.

— Ale to ci nie njmne! bynajmniej — począł. Mało to szlachty ubogiej na ludzi wychodzi! Zadorscy, Zadory—jam to o nich słyszał tu i owdzie, z których-że to jesteś?

Zakłopotanie pana Jacka coraz się stawało większem, odpowiedź dusić się go zdawała.

— A! mój panie Koniuszy — odezwał się jękając — albo ja tam dobrze wiem o mojej familii — papiery poprzepadały, krewni pomarli, tyle tylko wiem żem Zadora.

— No, to i na tem dosyć — rzekł stary, nie zada ci przecie nikt żeś nie szlacheć, bo to się u nas nie dzie-

je. aby persekwować biedaków, których już i tak los dotknął! Co tam! co tam! Zadora to i Zadora!

Machnął ręką.

— Ale zkadżesz się wziął na Podlasin, gdzie o Zadorach nie słyhać.

— Mały byłem. gdy mnie tu sierotą zostawiono — odparł p. Jacek. Kiedyś może dojdę i dosłędzę lepiej pochodzenia, a dziś — wszakże mi z tem jak bez tego!

— Pewnie! ale gdybyś o Łowczance myślał — dodał Koniuszy.

— Właśnie że mi to nie w głowie — rzekł Jacek.

Wstał z puia czyszcząc starannie przyrząd fajkarski pan Drobisz.

— Niech to będzie między nami — szepnął — ja ci powiem. ty czy myślisz czy nie o Łowczance, a ludzie gadają. że ona się ma do waszeci!

Oburzył się strzepując rękami Jacek.

— Ale no. trzep ty sobie na to rękami i nogami. Vox populi, cos musi być.

— Ale — przerwał Jacek — gdzie tam!

Ale. gadają — ciągnął dalej Koniuszy, ręką wyrazisty ruch czyniąc. — Jeżeli tedy intencji nie masz, pilnuj się. okazji nie dawaj. oczyma nie strzelaj. do Wólki nie jedź...

P. Jacek zbliżył się prędko. objął go rękami i całować począł.

— A! kochany mój, drogi panie Stefanie, złote ty serce moje, Bóg zapłać za radę; nie czuję się winnym.

I na zatarcie podejrzenia śmiać się począł, śmiać mocno, niby szczerze, a tak. że Koniuszy, co się na ludziach znał i na śmiechu. nieznacznie minę zrobił.

— Tandem — rzekł — my się tu ich nie doczekamy. Masłowski stary swoim zwyczajem zapędził się w ostep. leśniki musiały się rozleźć; co mamy na nich czekać i darmo na trąbkę piersi zrywać, chodźmy do bryczki i do domu.

Zabrali się oba iść lasem. a że drożyna ciasna była, gęsiego, przodem Koniuszy, zamysłony Jacek za

nim. Rozmowa musiała go poruszyć znacznie, bo milczący stapał w ziemię patrząc, a coraz to ramionami ruszał i marsa nastawił.

Uszli tak kawałek, gdy Drobisz się odwrócił.

— Najbliższa nam droga do Kodnia pod samemi wrotami Wólki przechodzi. Jeżeli Łowczy w domn. nie unikniemy go. My zwyczaj siedzieć na przełazie, a jak kogo zobaczy, nie wykreści mu się. Więc — co to będzie?

Odwrócił się do Jacka.

Jedźmy dłuższą drogą — rzekł Zadorski.

— Koni szkoda i droga psia — odezwał się Koniuszy. — Zresztą, co u licha, dla wilka nie iść w las. Popędzimy koło wrót i wymkniemy się...

Jacek nie odpowiedział nic.

Wychodzili na skraj lasu, gdzie już i bryczkę widać było. Chłopak zawczasu konie był zaprzągnął i stały ze łbami pospuszczanemi, on sam leżał przy nich na trawie.

— Niczypor! wstawaj! — krzyknął Koniuszy — nie widziałeś Masłowskiego albo kogo z myśliwych?

— Nie, ono jednego zajścia! — odparł chłopiec a słuchający się rozsmieli.

— Do kata, drogę nam przebiegł pewnie — dodał Koniuszy, który już kurka spuszczał i kłak zakładał pod niego, strzelbę pakując do bryczki.

Wieczór robił się chmurny.

— No, jedźmy — rzekł stary — siadaj panie Jacku. i — w drogę! Gdybym się nie wstydził, powiedziałbym, że mi się jeść chce...

Niczypor, wołając na konie: Pru! pru! gramolił się już na koziołek. w chwilę potem bryczka podskakując biegła już po drożynie nad lasem. a Koniuszy z towarzyszem musieli starannie równowagę utrzymywać, aby z niej nie zlecieć.

Niczypor o obowiązkach woźnicy tak miał jeszcze ograniczone pojęcie, iż je zasadzał na popędzaniu i rzucaniu lejcam, co się tyczy wyboru drogi, omijania

kolei. głęboko wybitych i wystających korzeni — te uważał za zło nieuniknione.

Co się działo z bryczką i jadącymi, nie obchodziło go wcale, byle pospieszał. Bat nie zchodził z koni.

— Z tego Niczypora — mruknął Koniuszy — dzielny kiedyś furman będzie, ale garnków mu nie można dać wozić, chyba do młyna!

Był to stary koncept na przekorę garncarzy wymysłony, który tak trafnie do woźnicy Drobisz zastosował.

A tu już ową zapowiedzianą Wólkę, która wraz z Zabłociem trzymał pan Łowczy Koperski, widać było w niewielkiem oddaleniu

Rada Koniuszego, aby około wrót przelecieć prędko, wyborną była w zasadzie, w wykonaniu zaś przedstawiała tę trudność, iż obok wrót dworu tuż znajdowały się wisznice na pole prowadzące, a koło tych żywej duszy, coby je otworzyła, nie było.

Wisznice zaś przez Łowczego tak zbudowane były, że się proprio motu zamykały, i kto je otwierał dla przejazdu, musiał przy nich stać i trzymać aż je minął... Tym sposobem zapobiegało się otwieraniu wisznic i odwiedzinom dworskich gości, które studia robiły w pszenicy...

Bądź co bądź, więc przed wisznicami stanąć musieli, Niczypora zasadzić, jeden lejce wziąć w ręce i zwolna minąć owe zdraadne wisznice. A tuż w lewo wznosiły się wrota do dworu, wrota paradne, z daszkiem, z furką o trzech wschodkach do nich wiodącą, tak aby czworonogie goście ekskursyi bez pozwolenia przez nie nie robiły. Na tych wschodkach, niewłaściwie przełazem nazwanych, (gdyż przełaz jest innej budowy, o czem przy okazji powiemy) siadywał Łowczy, gdy na gości polował.

O trzy kroki od niego, pod samym nosem trzeba było przebywać wisznice, tak że gdy chciał, mógł mijającego dwór zatrzymać.

Wszystkie te niebezpieczeństwa położenia podróżni zdawa już milcząc obrachowywali. Pan Jacek

pierwszy dostrzegł na wschodkach u furtki wysoką, białą, znaną sobie czapkę z kasztanowatym barankiem pana Łowczego.

Był to człęk serdeczny! miał tę jedną wadę, że nigdy nic nie robił i bez ludzi żyć nie mógł.

Gdy mu towarzystwa zabrakło, siadał oto w tej bramie na czatach. i chyba ksiądz do chorego spieszył, to go na sucho pusił.

Przyjęcie u niego pańskie nie było: piwo domowe, gorzałka z alembiku jejmości. wino pospolite i nie drogie, ale jadła, także niewybrednego, ogromnie wiele. Proste rzeczy, tłusto, pieprzno, słono—a było co jeść. Łowczy wysoki, kościsty, chudy był aż strach, a jadł tak, że do popisu mógł stawać.

I w domu zaprowadzone było jedzenie nienastające, od rana do nocy. Nie jeść u Łowczego, było to obrazić go śmiertelnie.

Wołano zaraz: Cóż to? nie smakuje?

Dojeżdżali do wrót; Niczypor zeskoczył z kozła, a tuż od wrót rozległo się:

— Stój! stój! Nie puszczę!

O Łowczym, dworze i jego rodzinie słowo powiedzieć należy. Chodził on dzierżawami po wielkich panach, i mając sam małą wioszczynę dziedziczną, prawie do niej nie zaglądał, bawił się w posesye, spekulował na nich. I choć oprócz rozmowy wieczorem z ekonomem, a z arędarzem zrana, w administracyą się nie wdawał, na pola rzadko wychodził — mówił, że majątek ogromnie robił.

System Łowczego był nader prosty. Brał zawsze dzierżawy u tych, co potrzebowali pieniędzy, naówczas zaś wielcy panowie, z wyjątkiem Czartoryskich i nie wszystkich Potockich, wszyscy byli w długach i gwałtem za pieniędzmi latali ich plenipotenci.

Łowczy jechał z pieniędzmi na kontrakty i zasiadał.

Natychmiast zjawili się wielcy przyjaciele, jeden przychodził od Sapiechów, drugi od Lubomirskich, inni od pomniejszych panów, półpanków

i ćwierć pańów z radą na ncho, aby Łowczy im się przysłużył.

On zawsze naówczas potrzebował dzierżawy, do-
pożyczał do niej, ale brał je w warunkach takich, że
choć ekonomowie kradli. gospodarstwo było liche.
w końcu roku zarobek płacił za wszystko. Ludzie do-
brze informowani dowodzili, że Łowczy grube mieć
musiał kapitały, on sam tylko się do strat przyznawał
i stękał.

Szczęśliwy ten człek. który byle miał sąsiada
kwestarza, bodaj żyda do gawędy. dobrą piwa szklan-
kę z grzanką i czasem warcaby albo maryasza — już
był kontent — syna oddał do wojska (co go dużo ko-
sztowało) a córkę Basię możeby rad był wyswatać, bo
panna już lat dwadzieścia i dwa liczyła — ale jakoś
się nie składało.

Sama Łowczyzna. gospodyni zawołana. wiecznie
zajęta swoją kuchnią i spiżarnią. pięknej tusz-
y matrona ubierająca się bardzo skromnie. była w domu
pociechą i ozdobą. osiłą. na której się on obracał. Ona
trzymała kasę. ona pisała listy, ona notowała w re-
jestrach i kalendarzu co notowania było godnem, na
jej głowie leżało wszystko.

Pomoc jednak wielką miała z córki panny Bar-
bary, wychowanej w domu. od dzieciństwa w ślady
matki wstępującej. Była to też gosposia nie lada.
ulubienica ojca, prawa ręka matki. a przytem dziewoja
słuszną, piękną. wesolą rumianą i śmiałą. że w roz-
mowie dotrzymała placu, bodaj najwygadańszemu
adwokatowi.

Ojciec, mówiąc o niej. stukał się w głowę. matka.
ile razy miała wątpliwość, jej ją rozstrzygać kazała.
na okolicę słyneła z rozumu. Zdaje się. że i sama
o tem, wiedziała.

Przy sławie. jaką miał worek ojcowski, przymio-
tach osobistych panny Barbary. jej niepospolitej pię-
kności. dziwnem się to wydać może, iż do lat dwudzie-
stu i dwu bez czepka dojść mogła. Lecz rodzice nie
spieszyli się z wydaniem za mąż, bo i im była po-

trzebna, a młodzież się nieco wahała posunąć do pan-ny, która obiecywała bardzo energiczną połowicę.

Ona też obchodziła się tak z młodymi jak z ulęgawkami. dawała się zbliżać, brała na spytki, dozwalała się z sobą posmiać i poumizgać, a gdy przychodziło do konkluzyi, zawsze konkurent tchórzyl.

Nie psuło jej to humoru, a piękność Basi rozwi-jała się, rozkwitała coraz bujniej i okazańiej.

Wiele mając zmartwienia z synem, który w ka-waleryi narodowej służąc, długi robił, w karty grał, pieniędzy siła tracił: ojciec więcej pono kochał córkę niż pana Kleta (bo imię mu Klet było). Nie potrze-bujemy notować nawet, że w Wólce, choć dzierzawa długoletnia była, dworn nowego nie myślał budować Łowczy: mieszczono się w budynku tak niepokaźnym i starym, że strach do niego wnijsć było.

Rudera ta w ziemię wpadła. wewnątrz jednak pootykana. poobmazywana. zabezpieczona by nie cie-kło i nie wiało. Łowczemu starczyła. Izb kilka było obszernych. a z tyłu alkierzy i komor dla jejności.

Żyło się jednak na popasie. jak w obozie. sie-działo i umierało w takich domach po kraju całym, i dopiero w końcu XVIII wieku pomysłano o lepszych dworach.

Tam gdzie najazd tatarski. wojna niespodziana co godzina mogła wygnać do lasu. a nieprzyjaciół pa-lił i niszczył co napadł, szkoda było budować się trwale.

Łowczy krzyknąwszy: Stój! sam już szedł do bryczki.

— Panie Stefanie — wołał — jakeś pocziw! Ja-cek! urwipolciu jakiś. ani mi się waźcie jechać! Stać! musicie wstąpić, bo tylko co nie widać krupniczku z półgęska...

— Ale bo, strasznie nam pilno, Łowczy dobrodzie-ju! — zawołał Drobisz. Masłowski się gdzieś zabłą-kał. u mnie klucze od owsa. nie będzie komu wydawać obroków.

— Ot to wielkie nieszczęście! Koniom siana zarzucać, odparł Łowczy. a owies potem jeść będą z większym apetytem.

Wahał się pan Stefan jeszcze.

— Zsiadajcie — rady nie ma, u mnie przepustnej nie dostaniecie aż we dworze. Kroć sto tysięcy — co się drożycie — krupnik gotowy!

Bodaj czy się już bardzo Koninszemu jeść nie chciało, bo zniękł.

— Nie odchódź że ty mi krokiem od koni. — zawołał do Niczypora, — pojedziemy zaraz.

Zsiadł i Jacek. przyzostawszy za nimi z tyłu jakoś zakłopotany. Tu już rozmowa się zaczęła żwawa, a zaledwie dostali się za bramę. w ganku ujrzeli stojące. w boki się trzymającą Łowczyńkę. w czepcu uakier i piękną Basię. która popatrzywszy na idących coś żywo do ucha matce powiedziała. Obie się rozśmiały i uściślały.

Z lewej strony od kuchni, stary Grzegorz pontificaliter niósł w wazie ów krupnik z półgaska. tak, że wcale na wiececzkę czekać nie było potrzeba.

— Panno—moja! zdala wołał Łowczy,—gości prowadzę, którzy się spieszą. dawajcie najprzód pielnówki, bo z polowania jadą i potrzebują rekonfer-tacyi.

Tymczasem witali przybyli. całując w ręce, a gdy Jacek przystąpił nieśmiało do panny Barbary, rumieniec okrył jej piękną twarzyczkę.

— Pan coś o nas zapominał! — szepnęła mu.

Podniósł na nią oczy. a co niemi odpowiedział. chyba ona jedna zrozumiała.

— Niechże krupnik nie stygnie! chodźmy! — spieszył Łowczy — nie ma pocziwszej rzeczy dla szlachckiego żołądka, jak gorący krupnik...

Wprost na prawo wprowadzono gości do izby stołowej. w której na prędce już dwa nakrycia dołożono. O krupnik obawy nie było że go starczy, od-wiecznym bowiem zwyczajem na dwie osoby najmniej

przyczyniano dla tych, których, jak mawiano, Pan Bóg miał zesłać (dla za-górskich panów).

Piołunkowę dobyto z szafy. a sama panna Barbara nalewała. Począł gospodarz poszło kółkiem.

Gdy miejsca zajęto, złożyło się że Jacka przy pannie posadzono. Starsi zajęli się i krupnikiem i rozmową o interesach kodeńskich, które Łowczego obchodziły, bo miał znowu napiętą dzierżawę, a księżna na gwałt biegła za pieniędzmi.

Złożyło się więc tak, iż panna Barbara, jak odosobniona. pozostała na łasce pana Jacka i — nawzajem.

— Ojciec o panu nie mało razy wspominał — odezwiała się panna — bo w warcabu nie ma z kim grać; a. prócz tego, zawsze pan u nas miłym gościem.

Znowu oczy poduiósł Jacek i odchrząknął, uśmiechnął się, nie mogąc zdobyć na odpowiedź.

Basia nalegając powtórzyła cicho.

— Tłumacz się pan dla czegoś nie był od tak dawna?

— Trudno bo mi się wytłumaczyć—rzekł ureszcie Zadorski — człowiek tak bardzo swej woli nie ma. Strażnik Koronny trzymał za stołem. pisanie było ogrom.

— E! jak kto chce—chwile znaleźć—odpowiedziała panna śmiało.

Jacek bolesciwie zwrócił ku niej oczy.

— Tak jest, słowo daję — powtórzyła w uśmiechu białe, śliczne pokazując ząbki. Niech no się pan poprawi...

Jacek podziękował.

Wśród rwącej się rozmowy, bo kilka razy do Zadorskiego się zwracano. przeszła wieczerza, bo po krupniku, pierogi z sercem je zakończyły. Ale była tego misa spora i nikt nie wstał głodny.

Ledwie zjadłszy i otarłszy usta jechać nie wypadało, przeniesiono się więc z izby stołowej. naprzeciw do drugiej podobnej jej rozmiarami. w której oszczędzając światła, na kominie ogień rozpalono.

Od drzwi jakoś zaraz panna Barbara zaczepiwszy gościa, poszła z nim ku oknom i na uboczu siadła, dając znak, aby przy niej zabrał miejsce.

Jacek spoglądał na Koniuszego i przypominał rozmowę... Radby był się trzymać od panny zdala, ale ta wcale się nie troszcząc o nikogo, wzięła go w rekwizycję. Opierać się nie było sposobu — a inklinacja też wiodła do pięknej panny, bo Jacek się w niej kochał. Chudy pacholek i serce i usta musiał na uwięzi trzymać.

— Dziś pan jesteś jak zwarzony — szepnęła mu panna.

— Inaczej bo nie może być — rzekł Zadorski. Koniuszy patrzy na mnie, gotów się ze mnie wyśmiać i pleść — niestworzone rzeczy...

— Co? jakie? — wtrąciła Basia.

— Czy pani nie miarkuje, że zaraz mnie o niedorzeczne afekty posądzą! — westchnął Jacek.

— Dla czegoż niedorzeczne? — podchwyciła Łowczanka.

— Inaczej by ich nazwać nie można, gdybym ja chudy pachol, ofycjalista, śmiał oczy podnieść...

Basia się rozśmiała wesoło...

— Wstydiłbyś się pan — dodała — tak dbać o ludzkie języki. Ja się przyznam panu, że gdyby na mnie powiedzieli, iż na pana dobrem okiem patrzę — nie gniewałabym się za to...

Ruszyła ramionami, a Jacek zapomniawszy się przysunął się do niej, wziął za rękę i pocałował.

— Nie może to być! — zawołał.

Tu już mowę oczy zastąpić musiały, a dziwna rzecz, choć od komina siedzieli daleko i pod oknem było ciemno, widzieli się jak w biały dzień i rozumie-li — jakby więcej wypowiedzieli niż się zdawało.

Wesołą twarz zrobiła panna Barbara.

— Mężczyźnie przystoi być nawet trochę zuchwałym — odezwała się — korona z głowy nie spadnie...

— Ale sercu bieda — rzekł Jacek — gdy w nadzieję zabrniesz, a potem je stracić musi.

— A dla czegoż nadziei nie mieć, kiedy — kiedy przeciwnego się nic nie znajduje? — odpowiedziała panna.

Widać było, że jej to co powiedziała zdało się dostatecznem, bo spojrzawszy na Jacka i uśmiechnąwszy się wstała. a on też za nią i ku komiuowi się zbliżyli.

Koniuszy, który właśnie opowiadał, jak do kozła chybił, zobaczywszy Jacka, zerwał się szybko.

— A ja się tu durzę! a tam konie stoją! — krzyknął porywając za czapkę.

— Otóż masz! — przerwał Łowczy — a ja na partyę warcabów rachowałem.

— Chyba już nie dziś — rzekł Drobisz rzucając okiem na Jacka — musimy na łeb na szyję powracać... Niech Zadorski umyślnie przyjedzie, gdy się tylko Strażnika pozbędzie.

Łowczy go za rękę pochwycił.

— Słowo musisz dać!

— Dawaj słowo! — śmiejąc się powtarzała Łowczyzna.

— Słowo pan daj! — dodała Basia zaglądając mu w oczy.

— Nie droż ze się, dawaj i jedźmy! — wtrącił Koniuszy — a nie to Nicypor nas gdzieś w rów wywali i kości połamie...

Koniuszy klusem pobiegł do swej bryczki ciągnąc za sobą Jacka — a tuż i konie znudzone ruszyły, ledwie siedli. nie słuchając jak Łowczy z bramy, życzył jeszcze dobrej nocy.

— No, już ty mi gadaj co chcesz — zawołał Drobisz zaledwie kilkanaście kroków odjechawszy od wrót. Ja, choć sam amorom dałem za wygraną, ale się na tem znam... Panna się do waszeci ma! Ty to, bratku, tak dobrze wiesz jak i ja; a no filut z ciebie.

— Panie Stefanie dobrodzieju — wyrwało się Jackowi — a miejże litość i serca mi nie psowaj! Co z tego choćby panna do mnie miała afekt, czemu wierzyć nie chcę, goły jestem jak bizun, ni łomn, ni domu — dać

jej za mnie nie dadzą... Gdyby się zaś cud stał, parobkiem bym chyba u nich być musiał i na fartuszkę siedzieć!

— Hej! harda dusza w ubogiem ciele — przerwał Koniuszy — albo to jeden chudzina się z bogatą ożenił i nie zmarł z tego.

— A wy, panie Koniuszy, cóście się nigdy żenić nie chcieli, mnie biedaka w to pchacie—rzekł Jacek.

— Jacku. kochanie. ani pcham. ani namawiam — chłodniej odparł stary całując go — mówię co oczy widzą. Ona się w waćpanu zadurzyła. a ty w niej... co dalej myślicie, nie wiem. a no z tem żartów nie ma. Szlacheckie dziecko. amory jak to u nas po dworach bywają, z nią nie uchodzą, bo i ojciec srogi człek i brat zawadyka..

— A! niech-że mnie Bóg broni!

— Więc ja ci powiem rzecz jedną — szepnął Koniuszy — jeżeli żenić się nie spodziewasz, a biedy ująć chcesz, poproś się z Mierzejewskim do Warszawy. z oczów jej znijdź!

Rada była dobra. Jacek się zamyślił głęboko, wysłuchał. nawet w ramię za nią pocałował, ale nie dał znaku, żeby ją miał przyjąć.

Późno już do Kodnia powrócili, i dobrze że Łowczy ich na krupnik prosił po drodze, bo tu już wieczery spodziewać się nie było można. Papierów kupa czekała na Jacka. Koniuszy zaraz z kluczami poszedł wydawać obroki.

Następnych dni stary pan Stefan. który miał afekt szczególny do Zadorskiego, nie spuszczał go z oka. Miał się czemś zajmować w domu, jednak ten młody, milczący, skromny i, przeciwko obyczajowi wieku swego i stanu pokorny a nieśmiały chłopak drażnił go jak zagadka. Miał zarazem sympatyą dla niego i niepokój jakiś o przyszłe losy człowieka, który tak mało się troszczył o przyszłość swoją i rady sobie dawać nie umiał.

Chwilowo znajdowała się właśnie w rezydencji kodeńskiej księżna wojewodzicowa, ulubieniec jej

i pełnomocnik Strażnik Koronny i wiele innych osób, pościąganych tu interesami wielce zawikłanemi. Księżna, jak wiadomo, zajmowała się nietylko swojemi długami, swatauiem syna, ale polityką, sejmikami, wyborem posłów i krescytywą swoich klientów. W czasie pobytu w Kodnin dosyć liczny francymer, tak wesóły i swobodny jak sama pani, otaczał ją i przyczyniał się wielce do ożywienia na jakiś czas tej pustyni. Pan Stefan Drobisz, jak wszyscy inni dworzanie księżnej, chętnie wieczorami chodził do wielkiej izby panińskiej, w której za dnia haftowano, prasowano i przygotowywano stroje, a w tej porze zasiadano do bardzo ożywionej gawędki, której bójne śmiechy nieraz do salonów dochodziły. Księżna choć się namarszczyła, była pobjażającą. Rej wiodła w tym drugim salonie średnich lat panna, zafana powiernica pani, panna Klara Macierzyńska, która niegdyś pięknoscia, a dziś dowcipem nawet w Warszawie słynęła.

Bardzo skromne miejsce pierwszej panny respektowej, które zajmowała u księżnej, nie przeszkadzało jej być osobą mającą w świecie pewne znaczenie. Przez jej ręce przechodziła nie jedna tajemnica i serca i państwa, z jej pomocą po cichu zawiązywały się intrygi, był to agent księżnej, pośrednik wielu frymarków, i niejeden powiatowy dygnitarz jej był winien order św. Stanisława, którym go Król J. M. zaszczyścić raczył.

Pełniąc tyle rozmaitych funkcyj, panna Klara miała sposobność zebrać sobie kapitałik wcale piękny i rozum ten, że go u księżnej pani nie umieściła. Niegdyś bardzo piękna, tak że zarówno z hr. Thomatis i wielu paniami miała szczęście służyć za model do obrazów Bacciarellego, bardzo zalotna, panna Klara dotąd jeszcze została wolną, lecz mówiono, że już za własnym domem, odpoczynkiem i zamążpójściem tęskniła. Pięknej postawy, zbyt może tylko okrągła i form nadto wydatnych, z twarzyczką o dwóch podbródkach i mało znacznym wąsikiem na wierzchniej wardze, panna Klara, przez księżnę zwana Klaryssą;

po nużącym sznurowaniu ust w salonie, lubiła u siebie swobodnie sobie pozwolić się pośmiać ze słówek dwuznacznych i tłustych; gromadzić młodzież i młodszym swym podkomendnym dozwalała też przy swoim nadzorze pochichotać i podrażnić młodzież.

O szarej godzinie schodzili się kto mógł, panny siadały na sepetach, kufrach i ławkach, Klaryssa zajmowała miejsce na fotelu dla niej przeznaczonym, a dworzanie stali, przechadzali się, lub niekiedy przysiadali się do swych bogiń.

Stary pan Stefan, choć do płci pięknej, jak mówiliśmy, już żadnych sobie praw nie rościł, lubiał wieczorami przychodzić do panny Klaryssy, aby się pośmiać z drugimi.

Tego wieczora starsza panna była dosyć kwaśną. Dłubiąc w zębach, sparta o krawędź fotelu, narzekała za coś na księżnę.

— Skarży się, płacze, złości, włosy sobie rwie — a, jakem pocziwa (miała takie przysłowie) sama sobie winna. Zapłacze się, zakaprysi, potem rozgorączkuje... Tak było z królem i — ze wszystkimi! Jakem pocziwa!

Koninszy, który słuchał a nie lubił rzeczy kwaśnych, rzekł żywo:

— Nie trzeba brać do serca chwilowych przypadłości! Nie tyleśmy to już przeżyli. Nasza pani, prawda, gorąco bierze wszystko, ale u niej, szast, prast, prędko wszystko przechodzi.

Klaryssa głową potwierdziła tylko.

— Powiem panu Stefanowi — dodała ciszej — że mnie już ta służba kością w gardle. Jakem pocziwa, mam jej dosyć, radabym spocząć.

— A no, tylko panna Rejentówna niech zapowie — rzekł Drobisz — posypią się konkurenci, co jej zechcą towarzyszyć na pustynią.

Rozśmiała się Klaryssa.

— Jestem trudna! — rzekła.

Potem oczyma potoczyła po pokoju do koła.

— Cóż to! Zadorskiego nie ma?

Uwaga ta miała znaczenie, które baczności Stefana nie uszło.

— E! ten Jacek. to oryginał, odezwał się — on tu rzadko kiedy się zjawia. a mało go i gdzieindziej widać. W kancelaryi siedzi. pisze za dwu albo za trzech. —gdy ma chwilę spoczynku, to książkę gdzie jaką wykradnie i w kącie się z nią zabawia! Z niego pociechy nikomu!

Na tę nagane nie odpowiedziała panna Klaryssa.

— Osobliwszy młody człek, na księdza czy co! — szepnęła.

— No—a ja go lubię—dołożył Koniuszy stateczny. uczciwy, tylko ma wadę—nieśmiały jest. Młodemu z tem na świecie ciężko... Ludzie zadcpczą.

Klaryssa słuchała.

— Niechaj by pan Koniuszy go zaanimował — rzekła — a to tak zgnije w kącie. Żeby też nie przyjsé ot i tu z innymi się posmiać... Myślałam zawsze. że to z dumy robi.

— Gdzie zaś! — rozśmiał się Drobisz — tchórz jest. Ja to najlepiej wiem.

— A zkąd?—zapytała ciekawie Klaryssa.

P. Stefan wąsa poglądził.

— Trafia mu się partya co się zowie, gdzie go panna ciągnie sama, ledwie że nie mówi — weź mnie asindziej—a ten niuńka, ani kroku.

— Gdzie? kto? jaka panna! — bardzo żywo podnosząc się z poręczy. na której była sparta — odezwała się p. Klaryssa.

— Łowczanka z Wólki!—szepnął Drobisz.

— Ma dobry nos! — rozśmiała się, uspokojona siadając znowu wygodniej starsza panna — tam go Wysocki nie dopuści.

— Jaki? który? — zapytał z kolei Koniuszy. mocno zdziwiony.

— Żebyś też asan nie wiedział!—odparła panna. — Jakem pocziwa! chyba zapomniałeś. Kocha się w niej. pewno od lat sześciu Ksawery Wysocki. zaklął

się slysze, że kiedy ona jego nie chce — bo nie chce — to nikogo do niej nie dopnsci. i albo sam zginie, lub kazdego konkurenta nsmierci. Jedrzykowicza juz obcial Jablczynskiego przepedzil, a byle sie Zadorski posunal i z nim bedzie to samo.

— No! tego to sie on znown nie zleknie — rzekl Koniuszy — bo silacz jest i w szable zagrać umie — ale dzimka!! ninnia z niego!

— Na kapcyna! — rozsmiala sie p. Klaryssa.

— Nawet i to nie — poprawil Koniuszy — bo kapucyni slyna ze smialosci i zuchwalstwa a on —

Ręka dokonczył Panna byla markotna. dolozyla po cichu.

— Przyprowadzil bys go tu czasem...

Rzucila okiem. zrozumial Drobisz, ze panna dojrzała interesowala sie mlodziencem. A byla i to pod wzgledem finansowym partya doskonala. szacowano Macierzynską na kilka tysiecy czerwonych zlonych. przy tem dozwoicie albo zastawa w Kodeńszczyźnie byly pewne. a stosunki panny bardzo rozgalęzione do wszelkiej promocyi otwieraly drogi.

Zwala sie kuzynka biskupa S.... chociaz Indzie sie z tego nsmiechali — i wcale czego innego domyslali.

Ta rónobarwna przeszlosć panny Klaryssy. dla przyszlego jej meza, korzystna być mogla, ale przyjemna — trudno powiedziec.

Koniuszy tez jako przyjaciel nigdy by mu blisko czterdziestoletniej p. Klaryssy nie swatal. Mruknal cos niewyraźnego i na tem poprzestal. rad ze sie dowiedzial o Ksawerym Wysockim. o którym chcial pomowić z panem Jackiem.

Drugiego dnia zeszli sie u marszałkowskiego stołu. Zadorski od ostatnich odwiedzin Łowczego w sobie byl zamkniety. smutny. i nie ukazywal sie prawie. Koniuszemu sie zdalo. ze zmizernial. Przyzostal po skonczeniu obiadu, aby sie z nim rozmowić.

Jakoż we dwóch tylko znaleźli sie w koncu na ławach u stołu.

— Coś ci ostatnie polowanie na humor nie posłużyło — odezwał się, chrząkając znacząco Koninszy. — Chodzisz jak przybity.

— Ja!

— A któż? panna Rejentówna Klaryssa pytała mnie o acana, czemu wieczorami do niej nie uczęszczasz na konwersacyę? Hm! I ta na waszeci patrzy miłym okiem, tylko to — tłusty połeć, (po cichu grubiajsko dodał) nieco odleżały.

Uśmiechnął się i skrzywił pan Jacek.

Hm! i ten ci nie do smaku? — spytał Koninszy.

Ramionami ruszył Jacek, z resztek chleba kręcił gałki i toczył je po stole zamysłony.

— A to acan wiesz — dołożył stary — że w Łowczance od lat sześciu kocha się zapamiętałe Ksawerek Wysocki, i poprzysiągł, słyszę, że nikomu do niej dostąpić nie da, a dwu już podobno obciął.

— No, to co? — zapytał obojętnie Zadorski.

— Pytam tylko, czy się go nie obawiasz?

Zadorski się rozśmiał.

— Ani mi on w głowie! — rzekł. — Rąbie się dobrze i jak się napije, do oczów skacze, ale to tam!!

Gałką cisnął o stół i wstał z ławy. Koninszy nani popatrzył i ruszył się także.

— No, nie pójdziemy do starszej panny?

— A ja tam po co?

Żachnął się na tę odpowiedź stary, a potem ręce obie położywszy na ramionach Jackowi, popatrzył mu w oczy długo.

— Jacku, kochanie! z ciebie chyba nigdy człowiek nie będzie! — rzekł. Mam że ci ja to mówić, że się na polityce światowej wcale nie znasz. No! panny Rejentówny możesz nie chcieć, to się rozumie, choć dla chudego pacholka to gratka wielka! ale i nie mając serca, gdybyś się akomodował, grzecznym był, skorzystalbyś. Ma do ciebie słabość, szepnęłaby księżnie, księżna by słowo rzekła Strażnikowi, drugi konik i coś lenunu by przyplnęło!

Potrząsnął głową jakoś dziwnie Jacek i uśmiechnął się smutnie.

— Ot, gdybym wiedział—rzekł—że sobie przez nią urlop wyrobie.

— A tobie on na co?—ciekawie następując odezwał się Koniuszy.

— Mam potrzebę—odparł cicho i niewyraźnie chłopak. Możeby — możeby gdzie — możeby się gdzie jakie papiery wynalazły.

P. Stefan popatrzył nań bacznie.

— Na długoż być chciał jechać?—spytał.

— Tydzień, dwa — bąknął Jacek.

— No, to chodź ze mną do starszej panny, ja ci mówię, akomoduj się... Przecie ona od razu cię nie zje...

Zawahawszy się nieco — Zadorski wziął za czapkę.

— Chodźmy—rzekł.

Szli tedy przez dziedziniec, choć jeszcze było zawczasu trochę, wprost do pokoju panińskiego, w którym przy kawie już siedziała panna Rejentówna.

Zobaczywszy wchodzącego tego którego sobie życzyła, ze strategią prawdziwie niewieścią ndała na przód, że go nie widzi, zajęła się kawą i dopiero gdy przystąpił z powitaniem, spojrzała nań, dosyć surowo...

Koniuszy rozmowę zagaił; panna była jakby roztargniona i kwaśna. Trącał łokciami Jacka, aby się przymilał do niej, ale chłopak zakłopotany nie umiał czy nie chciał.

Dopiero gdy Rejentówna, widząc że go trzeba ośmielić i rozruszać, zaczęła prześladować Łowczanką, trochę się ożywił. Koniuszy usunął się ku pannie Zielońskiej, młodej roztrzepanej wielce blondynce, która do zastąpienia kiedyś Klaryssy aspirowała, a ich zostawił we dwoje.

— Waćpan się dziczysz, co młodemu nie przystało—odezwała się z powagą i minami, które zupełnie wojewodzicową naśladowały.—Młodość na to Pan Bóg dał, aby się jej użyło.

— Moja młodość, panno Rejentówno dobrodziejko — rzekł Jacek — nie taka jak drugich. Żadne jej słońko nie świeciło; sierotą byłem i jestem. Sam jeden w świecie, daleko nie zajdę ani weseląc się, ani u ludzi łaski szukając.

— E! bo to z wasana desperat, jakem pocziwa — przerwała Rejentówna. Mało kto sierota! Młodość to matka. Kto ją ma, sierotą nie jest, na starość dopiero sieroctwo prawdziwe... Pewnie że o Łowczanre myśleć i tem sobie serce psować, nie do rzeczy by było, ale czy to mało ludzi i panien na świecie.

Kulejąc dalej wlokła się tak rozmowa, której napróżno obrót romansowy starała się nadać panna Klaryssa, spoglądała w oczy Jackowi, iskry z nich dobyć nie mogąc i trochę ją złości brały.

Gdy wreszcie dosyć niezgrabnie wyraził prośbę swą najuniżeńszą co do dwutygodniowego urlopu, ruszyła ramionami prawie gniewnie. Wypytała go po co i na co uwolnienia potrzebował, kiedy powróci, a ostatecznie pół gębkiem coś przyrzekła.

Jacek ją w rękę pocałował, co przedziwne wywarło wrażenie, bo mu rękę ścisnęła panna Rejentówna i dodała protekcyonalnie.

— Już się nie turbuj, ja sama powiem Strażnikowi, a on dla mnie — musi to zrobić. Jakoż nazajutrz w kancelaryi pan Długoszewski pryncypalny eo tempore sekretarz księżnej, oświadczył kwaśno panu Jackowi, którego nie lubił, że mu na żądanie dano urlop na dni dziesięć, z tem by dłużej ani godziny się nie absentował pod utratą miejsca w kancelaryi.

Tegóż dnia pobiegł Rejentównie w jej pokoju prywatnym podziękować Jacek. Tu go miłościwie bardzo zatrzymano, musiał sięść, musiał się napić likworu, zakąsić piernikiem, trzy razy pannę w ręce całować, i gdyby nie to, że wpadła Ziemońska na gwałt wzywając Rejentównę do księżnej, nie łatwo by się uwolnił.

Wieczorem Koniuszy znalazł go w stajni opa-

trującego już konia i napróżno starał się wybadać o cel podróży.

— Dosyć że z niego. ani dobrym, ani złym sposobem nic dobyć nie można — rzekł w duchu. — Jak się zatnie, gdyby koń narowisty. choć pod nim słomę pał!

Chociaż wkrótce zmierzchać miało, choć mu wszyscy odradzali jechać pod noc. Jacek uparty siadł na białka i ruszył.

Nie potrafilibyśmy dziś już skreślić drogi, którą się puścił w lasy. zaraz za miasteczko wyjechawszy. Ze sposobu kierowania się wnosić było można, że pan Jacek znał doskonale nie tylko wielkie drogi. ale najmniejsze ścieżki otaczającego kraju. Musiał też wiedzieć dokąd na nocleg zajędzie, bo przedzierał się gąszczami, drożynami małemi. choć noc zapadła. i wśród największych gąszczy dostał się na wielki gościniec pod samą karczmę, gdy już czas było jemu i koniowi odpocząć. W gospodzie świeciło się jeszcze i szczęściem. oprócz okolicznych wieśniaków z furami. nikogo w niej nie było. mógł więc wygodnie się rozgościć.

Żyd arendarz. chociaż nie znał osobiście przybyłego, dowiedziawszy się, że do dworu Kodeńskiego książęnej wojewodziejowej należy. miał dlań respekt i poczęstował go szabasówką. W wielkiej izbie na ławie, choć powietrze nie było wolne od różnych wyziewów. a spokój nocy podróżni przerywali, przespał się nie rozbierając Jacek, i do dnia już był znowu w drodze.

Podróż szła niemal ciągle lasami. jak to w ogóle nazwisko kraju oznacza. ziemie te nie dawno jeszcze Podlasiem nie darmo się zwały. bo je całe niemal okrywały bory ogromne. Tu i ówdzie osada mniejsza i większa miała jeszcze fizyognomię nowiny wydartej świeżo, na polach sterczały pnie nie wykarczowane. a stosunek roli i łąk do zarosli był bardzo mały. Zdobywali dopiero ludzie ziemię nie bardzo wdzięczną. miejscami piaszczystą, gdzieindziej gliniastą. i sapo-

watą. Drzewa na niej rosły bujnie, ale zboże chorowito i niedźnie...

Nad wieczór tego dnia pan Jacek, który się widocznie śpieszył dotąd, począł konia powstrzymywać a sam też tam poglądał jakby i chciał i obawiał się zarazem rychło do celu zdążyć.

Mrok padał, gdy wśród boru na skraju polanki pokazała się chałupa leśnika.

Było to coś pośredniego pomiędzy chatą chłopską a małym dworkiem szlachty takiej, jaka Huszczę i Tucznię zasiadała. Obok domku małego ogrodzonego do koła, chlewek, stajenka, soszek i gołębniczek wyglądał. Wszystko to sklecone z drzewa, już nie zbyt nowe, zszarzałe, ubogie... Przed chatą na drodze, wielki drewniany krzyż stał jakby jej pilnował. Dodawszy żuraw studni, który z za dachu wyglądał i kilka wyniosłych sosen oszczędzonych aby trochę cienia dawały, nie było więcej nic dla wygody i ozdoby...

W tę biedną sadybę, gdy mu się z lasu wyjeżdżając ukazała, wlepił oczy pan Jacek i stanął. Patrzał na nią tak jakby mu na widok jej biło serce, z miłością wielką, z trwogą, która opamownie gdy się ku miejscu drogiemu przybliża.

Jechał stępą, jakby się chciał nasycić widokiem, a rozmyślał jak ma się stawić... Coraz widoczniej rozeznawał co się w chacie i podwórku działo. Dobrze się już przybliżywszy, dostrzegł, że dwa konie osiodłane stały przede drzwiami, które pacholek jakiś trzymał. Zmarszczył się i jakby chciał cofnąć konia już miał zawracać, gdy pomiarkował, że widzianym być mógł i że dojechawszy do wrót niemal, nazad jechać nie rażno było...

Pies od progu czarny poskoczył szczekając ku wrotom. Spiał się łapami na nie, pociągnął nosem i nagle zaskomlił jak do znajomego... Tuż i chłopak od stajenki przypadł wrota otwierać.

Na jego przywitanie nic prawie nie odpowiadziawszy, zsiadł z konia Jacek; obejrzał się, jakby nie dobrze wiedział co pocnie.

Zmieszały go może głosy krzykliwe dochodzące z chaty. Jeden mianowicie podniesiony, gniewny górował nad innemi, a ile razy silniej się dał słyszeć, marszczył brwi pan Jacek zwolna ku drzwiom się zbliżając.

Czarne psisko tuliło się doń jak do znajomego. na co on tupaniem nogi i odpędzaniem odpowiadał.

Drzwi izby stały otworem. a wewnątrz jej następny obraz przedstawiało.

W pośrodku w czapce na głowie w boki się nąwszy. z bizunem w ręku. majestatycznie się podpierał mężczyzna lat średnich, wąsacz. ogorzały. mina zachwiała ze strzelbą przez plecy i torbą myśliwską na ramieniu.

Jednego oka brak mu było. powieka na nim na wieki zwiśla już się nie otwierała: nsta miały wyraz dziki. a w schrypłym głosie. czuć było napiętego...

Wrzeszczał właśnie.

— Pamiętaj-że ty chamiu jakiś!

Gdy z drugiej strony progu ukazał się pan Jacek. to mu jak użem mowę odjęło.

Naprzeciw niego, w postawie dosyć pokornej, u komina, który jak po chatach z piecem się łączył, stał przyparty staruszek siwy, z głową spuszczoną, w siermiędze krótkiej, w postołach zamiast butów na nogach. pasem zielonym starym przepasany.

W głębi widać było kobietę nie młodą. z chłop-ska po szlachecku odzianą. z twarzą bladą. gniewną i pięściami pościskanemi, czego zamaszysty ów pan widzieć nie mógł. tyłem będąc do niej zwrócony. Gdy się Jacek ukazał, stary u pieca stojący pobladł jak ściana. kobiecie opadły ręce, krzyczącemu głosowi za-brakło.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwał się z pewnem drżeniem w głosie Jacek. — Pobłądziłem w drodze—czy trafię do Białej?

— Do Białej! — zaśmiał się w czapce stojący. — A zkaąd-że asindziej jedziesz.

— Z Kodnia. od księżnej.

Otóż, wstąpił do piekłów. po drodze mu było — począł wąsaty. Śliczne intineraryum sobie asindziej wybrales.—Gdzie u Boga!

Początek ten rozmowy. kobietę starą. która się zlekła zrazu i siwego co stał u pieca, widocznie uspokoiły.

Głosem drżącym. cichym, pokornym staruszek zwracając się do Jacka—rzekł przedko:

— Juscii, wielmożny pan poblądził, a oto i noc, nie ma innej rady tylko u nas, choć nie wygodnie noc przebyć, a jutro ja na gościniec wyprowadzę.

— Jaby m dał radę lepszą — wtrącił z butą szlachecką mężczyzna w czapce. — Jestem oficyalistą księcia Radziwiłła, mieszkam ztąd o lekką milę. proszę na nocleg do mnie. Szlachcic u szlachcica znajdzie przyzwoitszą dyetę niż u chłopca.. Jestem Mazanowski, do usług.

Zadorski się skłonił. wybąknął bardzo spieszenie swoje nazwisko. które drugi raz musiał powtórzyć. bo Mazanowski podchwycił. Jak? jak? i wytłumaczył się. że konia miał zmęczonego bardzo a sam też się srodze na konin stłukł.

— Z biedy to wielmożny pan i u nas się jako tako prześpi—dodał stary.

— A jak moje nie w ład. to ja z mojem na zad — rzekł dumnie Mazanowski.—Jak nie laska—to—co robić.—Nocuj asindziej u chłopca!

To mówiąc. zwrócił się do starego:

Pamiętaj-że mi. ty chamiel! aby wszystko było w porządku. bo jak drugi raz się to zdarzy. jak Bóg miły, jak Bóg miły, na siwy twój włos nie zważając, tak grzbiet wyłożę, że popamiętasz.

Pogroził bizunem, który trzymał w ręku. a starzec do nóg mu się tylko pokłonił.

Za tem powtórzywszy ubolewanie, iż Zadorski do Mazanowskiego nie raczył. przeprowadzany przez ugiętego w pół staruszką, który szedł mu strzemię przytrzymać, wyniósł się butnie, hałaśliwie Mazanowski.

P. Jacek stał jak wkuty u progu, nie zważał nawet, że czarny pies, mimo odpędzania, do ręki mu się przysnuwał i lizał ją pokorny.

I raz jeszcze odezwało się głośne:

— Pamiętaj-że ty chamie!

Po czem ściągnął szkapę Mazanowski. chłopiec jego na konia skoczył i klusem za wrotka wylecieli.

Starzec ścigał ich przelękleńmi oczyma. Kobieta ręce złożywszy jak do modlitwy, stała pół skamieniała. Jacek zdał się czekać.

W chwili gdy Mazanowski zakręciwszy w prawo znikł za sosnami, Zadorski skoczył do chaty i starej kobiecie do kolan się pochylił. Ona pochwyciła go za głowę i namiętnie ją do piersi cisnąc, całowała z płaczem.

Wtem nadbiegł stary i porwał w ramiona pana Jacka, wprzód drzwi zawarłszy zasobą. i nie słysząc nie było długo, tylko jakby jęki i łkanie...

Wtem kobieta pierwsza mowę odzyskała.

— Jezusie nazareński!—zawołała—o to cię Pan Bóg przyniósł. właśnie na tę godzinę gdy ten Herod przybył się znęcać nad nami i starego hańbić.

Poczęła płakać i lzy ocierać.

— Takie to nasze życie, takie obejście się ich z nami. innego nie posłyszysz słowa, tylko—ty chamie! ty chłopie!

Stary jęknął.

— A cóż—przerwał—chłopem ci jestem, wszystko mu wolno co zechce, i gdyby zabił nie ująłby się nikt.

Obejrzeni się lekliwie czy kto nie słucha lub nie patrzy, ale nie było nikogo.

Stary przyglądać się zaczął przybyłemu z miłością wielką.

— Co się z niego zrobiło!—szeptał radośnie.

— Nie zmizerowali go Bogu dziękować na tym dworze!—dodała stara. i wnet fartuchem zaczęła ocierać ławę.

— Siadaj-że, spocznij. co ja tobie dam! czem ja cię pożywię. Tyś sobie głęę popsuł na pańskim.

Stary mniej gadatliwy, bojaźliwszy, gdy Jacek usiadł przysunął się do niego i po głowie głaskać począł, wyrywając ręce czarne i namulone. gdy ten mu je chciał całować.

Pod wrażeniem wielkiego uczucia niemy siedział Zadorski. podparty na stole, oczyma chodząc to za kobietą. która się już krzątała po izbie. to za uśmiechającym mu się starym.

— Jacku kochanie. Maryś ty życie moje—szepnął stary—jakby chłopiec wszedł albo Paraska. zmiłujcie się nie zdradźcie się. Jak co zwąchają, pójdzie z tego gadanie. zgubim siebie i jego...

— A już ty mnie nie ucz stary. nie pierwszy to raz — odparła kobieta—byłeś ty sam się nie zdradził! Bo, choć w kącie staniesz. to takie na niego oczy robisz, jakbyś go zjeść chciał.

— A juścibym go zjadł! — zamruczał stary wesoło i usta sobie zatulił.

Za drzwiami szelest posłyszano i stary natychmiast cofnął się ku piecowi. weszła owa Paraska, rozglądając się po izbie i przybyłym.

Stara Maryś nie dala jej długo patrzeć. wyprowadziła zaraz do sieni.

— Ot bieda!—westchnęła szepcząc jej na ucho. Znajomy szlachcic zabłąkał się, nie ma rady tylko go musimy na noc przyjąć. Co ja jemu dam!

Narada z Paraską cicha—odwiodła uwagę jej od przybysza. Wyprawiona do spiżarenki po zapasy, nie miała czasu już podsłuchiwać i podglądać.

Lecz ledwie się jej zbyto. zajrzał chłopiec, pytając co ma z koniem robić. z czego korzystając Jacek sam poszedł go w stajni postawić.

Czarny Burek zdrajca, włóczył się tak za nim, że chłopiec znając złe psisko. wydziwić się nie mógł!

— Co za dziw—rzekł Zadorski—ja mam takie ziele, że za mną wszystkie psy chodzą.

Ponieważ potem nieustannie Paraska i chłopiec do izby zaglądali. musieli więc oboje starzy i Jacek tak mówić z sobą. jakby obcy byli. Okazywano gościo-

wi poszanowanie należne i dopóki czeladź spać nie poszła. jeśli co mówiono. to ostrożnie i po cichu.

Po wieczerzy dopiero. kiedy już i siana przynie-
siono na posłanie. i łuczywo tylko gorzało w kominie,
a mało pierwsze kury nie piał, stary poszedł się prze-
konać czy chłopiec spał, baba posłuchać czy na piecu
w piekarni chrapała Paraska, i gdy już szpiegów się
nie obawiano. siedli swobodniej rozmówić się z sobą.

Stara nsiadła na ławie przy Jacku...

— Jakieto szczęście; czyż bieda ciebie do nas przy-
pędzila?—zapytała.

— Samaby tęsknota zrobiła to —począł Jacek—gdy-
by od służby łatwo się było uwolnić. ale służba, nie-
wola.

Westchnęli wszyscy.

— Czyż ci tam niedobrze?—wtrącił stary.

— A! ojcze kochany—przerwał płaczącym głosem
Jacek—gdzie mnie kiedy dobrze być może! Zrobiliście
prawda wszystko coście mogli aby los mój osłodzić.
ale kto wie czy on przez to gorszym się nie stał.

Matka w dłonie uderzyła.

— Dziecko moje, co gadasz, a toż grzech! Krwa-
wisz serce moje!—krzyknęła z płaczem. Lepiej żeby
ci było jak oto my na łasce i niełasce Mazanowskiego
żyć. pod ich językiem i biznmem!

Stary milczał, Jacek się ponuro zadumał.

— Matusz kochana — rzekł — jaki by był los to był,
ale człowiek śmiało ludziom w oczy mógł spojrzeć,
a ja tego nie potrafię. Czuję, że kłamstwem i obłudą
żyję. że pożyczane imię noszę...

Zamilkł, zerwała się z ławy stara Maryś.

— Nie tak to jest jak mówisz—poczęła—ja jestem
szlachcianka. tak mi Boże dopomóż, rodzony mój brat.
co się mnie wyparł dla tego żem za chłopą poszła, ży-
je przecież w Huszczy. Za cóż ty byś chłopem miał
być?

Starowina pokorny płakać zaczął i dłonią sobie
oczy zakrył.

— Kiedy ludzie nad takimi chrześcijanami jak oni są, litości nie mają. choć nas Chrystus wszystkich krwią swoją odkupił—cóż za wina. że my się kłamstwem wyzwolić chcemy! Chcieliśmy tobie ulżyć losu... Nie wie żywa dusza w świecie, zkał ty rodem. śledzić nikt nie myśli. Nie dochodzą teraz szlachectwa. Znam ja sam takich co się z chłopstwa wywlekli. i nikt ich tropów nie szukał. .

— A!—począł stary zniżając głos, jakby się obawiał aby go ściany nie zdradziły—a! nie mało to kosztowało kłopotu i grosza. pókim ja ciebie zataił, za umarłego podałem i za sierotę szlachecką do szkół posłałem... Tys niewdzięczny...

Jacek chwycił go za rękę.

— Ojczuniu, nie zrozumieliście mnie — podchwycił—wiem ci ja co wam winienem, a kocham was nad świat cały, ale nie boleś że to kryć się i was zapierać? A co będzie dalej?

— Co będzie dalej?—śmiało zawołała matka—myśmy starzy, zemrze się nam, zawiozą na mogiłki... ta jennica do grobu pójdzie z nami. Alboż by ojciec i matka rodzeni cię zdradzili?

Widząc, że rodziców zamiast rozradować przybyciem swem i pocieszać czem pomyślnem. zasmucił żałami, wstrzymał się od nich Jacek. Posypały się pytania o dwór, o księżnę. o tych pod czyjem zwierzchnictwem Jacek zostawał. Opowiadał im o Koniuszym, o towarzyszach, o tej ciekawości jaka go ścigała —wreszcie westchnął zwierzając się matce ze swej miłości dla Łowczanki.

— Co mam mówić—dodał— panna mi sprzyja. rodzice też źle nie patrzą. ale jak też tu sięgnąć po szlachecką córkę, a nuż się wyda? Wtedy już oni tej hańby z siebie nie zmyją. chyba krwią moją. Porzuciłaby żona. wyparli się wszyscy...

Matka go ścisnąć zaczęła.

— Co bo tobie w głowie!—zawołała—dla czego się wydać ma? jakim sposobem? Przecież cię z poddaństwa wykreślili gdy ojciec podał za umarłego, nikt nie

wie! Wzięłam na duszę moją żem się nawet nie spowiadała z tego! Mówisz, że kłamać musisz! albo tam kropla krwi szlacheckiej w tobie nie płynie. Przecież się nie wywodzisz a mówisz żeś sierota; nikt śledzić nie będzie...

Jacek słuchał zadumany.

— Ono to prawda — dodał — a nie mniej życie mi truje moja dola nieszczęśliwa. A jakież ja szczęście będę miał gdy wam go widzieć nie wolno ani pobłogosławić.

Tuż staruszek mruczeć począł.

— Nie pleć! nie skoml—rzekł—Panu Bogu dziękuj. Wszystko to niczem przy doli naszej. gdy Mazanowski nad siwą głową moją bizun podnosi, i zmusza abym o jego kradzieżach milczał...

Zapłakał stary. a żona poklepawszy go po głowie kazała mu się utulić.

Jacek o radę się domagał.

Miał li się do Łowczauki posunąć czy dalej gdzie w świat iść szukać szczęścia, aby nie tak łatwo go wysłędzono ..

Ojciec radził wędrować, matka się opierała.

— Tyle naszej pociechy — wołała — co go choć raz w lat kilka zobaczymy. gdy choć zdaleka w kościele człowiek się jego twarzą pocieszy!

Łzy dokończyły, stary zamilkł a Jacek też nie nalegał.

Trzecie kury piałły, gdy się do snu poczęli układać. Nie chciał młody nazajutrz opuszczać chaty, więc zmyślono zawczasu, że zachorzał i dzień musiał spoczywać.

Wstała po ciemku jeszcze matka pójść się skarżyć Parasce, że gość jęczał noc całą, srogich boleści dostawszy i że go załogą mieć będą. bodaj następny dzień cały.

Z czeladzią było by wszystko się ułożyło po myśli. ale po południu nadciągnął Mazanowski. Potrzeba było kłamać znowu. bo bardzo się zadumał postrzegł-

szy wczorajszego gościa, który na prędce głowę sobie obwiązał.

— Asindziej tu jeszcze? — zapytał — cóż się stało?

— Zachorzałem haniebnie — odparł Jacek — szczęściem, że na dobrych trafiłem ludzi.

Rozśmiał się Mazanowski.

— Ale! — zawołał — tacy to oni dobrzy. bo jego-
mości za gospodę chrzą obedirzeć. Znam ja ich oboje!
Pogroził ręką.

— Byłbys u mnie i lepszą gospodę miał i nic za nią nie płacił.

— Ale do niej jechać nie miał już siły — odezwał się Jacek. Radaby dusza do raj!

Mazanowski starego z krzykiem i łajaniem w las posławszy. sam znudzony się przysiadł. wódki i jajecznicy się domagając od starej Marysi

Ta, że niegdyś na dworze Radziwiłłowskim była. i, jako szlachcianka. śmielszego w sobie ducha miała, dotrzymywała lepiej placu Mazanowskiemu niż mąż, za co też jej cierpieć nie mógł.

Rozmowa do której Jacek się mieszać nie mógł, ciągle mu na twarz rumieniec gniewu wywoływała. Mazanowski bowiem starości nie szanując, plótl co mu ślina brzydka do gęby przyniosła. a zaczepiona Maryś broniła się jak mogła.

Wiedział o jej pochodzeniu szlacheckiem Mazanowski i właśnie tem jej dopiekał. że za chłopą wyszła. jakby już w Huszczy i Tucznie szlachcica żadnego nie było...

— Ja to tylko powiem wielmożnemu panu — odparła stara — że życie mi miodem nie płynęło. a no, gdybym je znowu poczynąć miała. a mój stary Autoszka chciał się ze mną żenić. poszłabym za niego drugi raz, bo mi z nim dobrze było.

Otarła łzę. Mazanowski szydził.

— Co komu do smaku! — rzekł: chciało się babie królować, dla tego pokorny wiecheć wybrała!

Z zawiązaną głową, milczący, gryząc usta do krwi. przesiedział tak na mękach Jacek aż poki szlach-

cicowi nie sprzykrzyło się w chacie z milczącym nieznanym, i w końcu na konia nie siadł, znowu zapraszając go do siebie.

Nie rychło w nocy powrócił stary znużony, zbity aby jeszcze syna zobaczyć i pożegnać. bo nazajutrz już chciał Jacek jechać, rodzicom nie przysparzając niepokoju.

Wybrał się na dłużej, nie porachowawszy. że pobyt u nich, choć w leśnej chacie na ustroniu, bezpiecznym i swobodnym nie będzie.

Mówili więc znowu o wszystkim, a najprzód o Lowczance, do której matka syna nakłaniała, aby odwagę miał, a ojciec milczał... Nie wzbraniał i on, ale się lękał.

— Młodyś ty jeszcze — mówił po cichu — czasu masz dosyć. Teraz nie ma jeszcze za co rękę zaczepić, bo u mnie zapas nie wielki, na szlachecki worek nie stanie go czem napęłnić... Jak byś się trochę swego dorobił.

Matka dowodziła inaczej.

— Kiedy poczciwe dziewczę serce do niego ma, toć mu wiana swego wypominać nie będzie. A jak zacznie pracować z nią razem, wszystko wspólne! Kto wie czy drugą taką spotka co by za ubogiego iść się ważyła.

Stary Antoszka powiedziawszy swoje już się nie sprzeciwiał, wzdychał. Dobyto z węzełków zachowane dla syna grosze. a choć Jacek się wzdrygał je wziąć, matka gwałtem wetknęła.

— My to nie dla siebie zbierali — dodała — nam nie potrzeba dzięki Bogu nic. ordynaryę mamy. krów parę, drobinu trochę. w ogrodzie się coś zbierze. a odzież jest dosyć do śmierci. po cóż nam grosze trzymać?

Nie wiele go tam było, ale za owych czasów sto złotych znaczyło więcej może niż dziś tysiąc. szczególnie dla nbogiego człowieka.

Zwlokło się do białego dnia bez snu, i przy tym samym ogniu, który im przyświecał noc całą, matka uprzyła mleka, aby na czczo syn nie jechał w drogę...

Musieli się płacząc po cichu żegnać, aby łez ludzie nie widzieli, a gdy na koń Jacek siadał, pokłoniłmi go, żegnać zdawa jak obcego. Łzy mu się w oczach kręciły, kiedy ich zobaczy?

Mogli pomrzeć oboje, a znać by mu nie dali, aby go nie zdradzić...

Prędko popędziwszy bułanka. Jacek znalazł się w lesie, nie wiele wracając pocieszony i uspokojony. Jechał po radę jakąś, tej mu oni dać nie śmieli. matka inaczej, ojciec doradzał różnie. sam nie wiedział za kim iść.

Serce mu się tylko ścisnęło boleśniej gdy Mazanowskiego przypomniał i życie starych co mu byli podlegli.

Nie było ratunku nad zuchwałe kłamstwo. nad bezczelne przebojem iście w świat, i zaparcie się tych, których kochał najmocniej.

Powrócić pod bizun Mazanowskiego ani już było można nie narażając ojca, ani by potrafił skostowawszy nieco swobody.

— Stań że się wola Twoja! — mruknął do Kodnia dojeżdżając.

Jacek jeszcze konia w stajni doglądał czy można mu było siodło zdjąć, gdy już ciekawy Koniuszy zjawił się w progu.

— A co! jużes to z powrotem? chwała Bogu! Prędej przyjechałeś niżes obiecywał. Gdzieżes bywał? Dobrze ci się działo? he?

Jacek go witał nie wesolą twarzą.

— Dziękuję panu Koniuszemu, wróciłem rychło, bom nic nie zrobił.

— O! to mi cię żal.

Rad się był coś więcej dowiedzieć Drobisz. ale Jacek zagadał o bułanym jak ot on chodzi, jakiego ma kłusa, że się nie potyka i t. p. Stary popatrzał nań i zamilkł.

— Było po co jeździć, kiedy wróciłeś z nosem na kwintę! — odezwał się po chwili. — A no, chodź na wieczerzę, albo nie, to do panny Rejentówny!

— Dzisiaj już chyba nie, bom zmęczony — rzekł Jacek, byle co przegryzę i położę się.

Gdy nazajutrz pokazał się Jacek w kancelaryi, powitanie było szyderskie jakies. Nie zważając na to siadł do roboty.

Prawdę rzekłszy zazdroszczono mu. Wszyscy powiadali. Co w tym Jacku tak osobliwego, że mu się szczęści, Łowczanka za nim przepada, jak mówią, a Rejentówna także go ciągnie. Goły jak święty turceki, bez rodziny, nie wiedzieć zkąd jest, rozumu osobliwego nie ma, a żeby miał być przystojniejszy od drugich, to także nie! zkąd te łaski?

— A nie! chłop zdrów — mówili drudzy, a kobiety ciamajdów lubią, pokorne ciele!..

I pokrećali wása ichmość, ale patrzali koso...

Wieczorem namysliwszy się, poszedł Zadorski do panińskiego pokoju, stanął, jak należało przy krzesle panny Rejentówny i dworował. Była tego dnia w takim humorze, że reszta młodzieży mogła bezkarnie się gzić z pannami, ona nie mówiła nic, tak ją chłopiec zajmował. Co do Jacka, po tym wcale nie widac było, ażeby wielki afekt miał do Rejentówny, odbył przy niej pańszczyznę i drapnął.

Na dworach trzeba się wysługiwać jak można, żeby nie mieć nieprzyjaciół.

Koniuszy mu pochwalił to.

— Masz rozum — rzekł cicho — czy myślisz co czy nie, panna ci potrzebna, bo u księżnej ona wszystko wszystkiem!

Jacek nic nie odpowiedział — uśmiechnął się tylko.

Stary Drobisz przypatrywał mu się i śledził go jak zagadkę. Widywał mocno zamyślonym, namarszczonym i jakby z sobą walczącym. Dorozumiewał się, że chłopiec albo w sercu lub na sercu coś mieć musiał. Gniewało go to, że się przed nim tał.

Aby nie spłoszyć, nie dopytywał zbytecznie — wielki był znawca ludzkiej natury.

Drugiego czy trzeciego dnia nad wieczór, Drobisz swoim zwyczajem szmurknąc czy go gdzie nie znajdzie, zajrzał do kancelaryi. poszedł do stajni. na ostatek do panieńskiego pokoju. Nie było go nigdzie. Pokiwał głową! Oho!

Na sercu mu leżało dowiedzieć się co się z nim stało. Jeszcze raz do stajni zajrzał.

— Bułanego nie było.

— Przysięgam Bogu — dmuchnął do Łowczanki — zamruczał pod nosem.

Zgadł stary. bo Jacek skorzystał z tego, że w kancelaryi mu tego dnia mniej dano roboty, i do Wólki pojechał.

Wahał się z tem długo, raz ledwie nie zawrócił z drogi, ale pokusa przemogła — zaciął konia i ruszył na prost.

Wieczór jesienny był. ale ciepły i piękny. Od Wólki ku Kodniowi szła grobla staremi wierzbami wysadzana, cienista, której minąć nie było sposobu, bo do koła ją moczary i rowy otaczały. W końcu jej stał krzyż postawiony przez Łowczynę z napisem:

Pod Twoją opiekę, niekamy się.

Ledwie go pominął Jacek, gdy na grobli białą sukienkę zobaczył. serce mu uderzyło. Nim poznał domyślił się w niej Łowczanki. Szła wolnym krokiem ręce na piersiach założywszy, właśnie jakby na spotkanie.

Zsiadł zaraz z bułanego.

Panna się troszynie zarnmieniła.

— To szczęśliwy trafi! — odezwał się Jacek do ręki pocałowania przystępując.

— Nibys pan nie wiedział, że ja codzień wieczorem, póki tylko można, do krzyża na spacer chodzę! rzekła panna.

— Pewnym tego nie byłem!

— To złą pamięć masz pan, bom ja mu to mówiła.

Tedy sobie w oczy popatrzali. a Łowczanka dobrze mu się uśmiechnęła.

— Zawróćmyż się do domu — rzekła — abys z ojcem w warcaby zagrał i rozweselił go, bo dziś ziewa strasznie, a jak ziewa to i klnie.

Zaczęli iść razem, obok siebie, a Jacek z tyłu konia prowadził, który z drzew liście osmykał po drodze.

— Co tam u państwa słyhać — mówiła panna — wyszła za mąż Rejentówna?

— Nie, dotąd o swatach żadnych nie wiadomo.

— A nam tu z Kodnia doniesiono, jakoby pan Jacek się jej bardzo akomoduje.

— Kto! ja? — I rozśmiał się z całej duszy. — Juściż w Kodniu — mówił dalej — pannie Rejentównie się musi każdy, a no od tego do swatania się i konkurów daleko. Mnie też to nie w głowie.

Panna się jakoś ostro ofuknęła.

— Znasz mnie waszmość — rzekła — że u mnie co w myśli to i na języku. Młody człowiek przecie powinien o małżeństwie myśleć. bo każdy na tem kończy, a czempredziej to lepiej.

— Któż temu przeczy, panno Łowczanko — odparł Jacek — ale nie wszystkich równo Pan Bóg rozdzielił. Kto nie ma domu ani łomu — jakże mu o żonce myśleć!

— Znaleźć sobie może przecie taką co dom będzie miała! — dodała panna.

— Taka za niego nie pójdzie — odezwał się Jacek — a choćby się i odważyła, smutne to życie dla męża gdy nie przyniosłszy nic na łasce żyć musi.

I westchnął.

— Bałamuctwo! — rezolutnie zawołała panna. — Jak się ludzie kochają. nie zważają na to co moje co twoje... Pycha to nie potrzebna koniecznie się z majątkiem chwalić.

Szedł Zadorski z głową spuszczoną, nie mówił nic.

A tu już nie było więcej nad dziesięć minut drogi do dworu, panna kroku zwalniała. jakby chciała

czegoś doczekać co nie przychodziło, aż ją niecierpliwość brała.

Myślała, myślała, ustami poruszała. koniec chusteczki gryzła — potem nagle stanąwszy przeciw Jacka ozwie się:

— Będzie panu ojciec rad, bo go bardzo lubi.

— Nie zasłużyłem... — rzekł pokornie Zadorski.

— A i matka moja za nim przepada. jak mi Bóg miły — dodała śmiejąc się Basia — masz pan szczęście do wszystkich u nas w domu.

Jacek nie zważając że pastuszkowie szli nieopodal, pannę za rękę wziął i co miał raz pocałować. jak się należało, całował, całował. końca temu nie było.

— A! — zawołał żywo nie opamiętawszy się — gdybym miał skarby świata. gdybym był czem nie jestem, gdyby... padł bym do nóg pannie Barbarze i rodzicom...

— A czemuż bez skarbów tego nie próbować — odezwiała się panna wesóło. — Przecieżeś nie ślepy, że ja mn dobrze życzę, rodzice też. na skarby żadne zważać nie będą, im potrzeba jak mnie pocziwego człowieka.

Znowu tedy do rączki Zadorski, krew mu na twarz wystąpiła.

— Już choćby życie dać za pannę Barbarę! — krzyknął.

Tu rękę mu ścisnąwszy szepnęła.

— Naprzód no z matusią pogadajcie; nie bójcie się jej, ja w tem. Uprzedzę ją. Ino nie dziś jeszcze, ale za przyszłą razą. Ojciec choćby i czuprynę potarł, my jego zmożemy...

Rozśmiała się i już tylko w oczy sobie patrzali, bo dochodzili do ganku. a tu siedział Łowczy sam, nogę na nogę założywszy, zadumany że ich nie widział.

W tem z tyłu zatętniało i mężczyzna na koniu tegim, dużym ale chudym, w rzemienny rząd przybrany. przygnał za niemi. Młody człek był. chudy. ręce i nogi miał długie, głowisko duże. twarz nie miłą. a że pod ten czas czegoś musiał być bardzo kwaśny.

jechał tak wykrzywiony, jak mówią pospolicie — ze srody na piątek; z jednego postu na drugi.

Spojrzał z ukosa na idącą parę, konia osadził, skoczył i pokłoniwszy się pannie, która mu ledwie głową kiwnęła, szerokimi krokami posunął się przechylając a rękami machając, do ganku.

Łowczy rozbudzony stał i patrzył.

— Jak się masz panie Ksawery! — rzekł, a tuż dodał — no — a ot i moje warcaby! przecież pan Jacek łaskaw na sąsiada.

Kusem przywitaniem zbyty. ów pan Ksawery. (był to Wysocki wieknisty od lat sześciu panny konkurent) — padł na ławę krzywiąc się jeszcze mocniej niż w początku.

Panna Barbara pominawszy go i ani nań spojrzawszy, poszła do matki, a Łowczy począł wołać. Jest tam kto? Jest tam który? aby piwa podawano i warcabnicę do izby stołowej. bo tam ich chciał prowadzić.

Ksawery zagaił jak tam owies wydaje; czy zboża dobrze poschodziły.

— Owies tego roku jak posład u mnie. a i runią się nie pochwałę — rzekł Łowczy, choć ona się jeszcze poprawi. byle trochę ciepło pottrzymało.

Po tej krótkiej przemowie, gdy warcabnicę przyniesiono i piwo, Łowczy natychmiast siadł z panem Jackiem grać, a Wysockiego z piwem zostawił sam na sam, ani się już o niego troszcząc. Temu to nie w smak szło, więc choć warcabów nie cierpiał, pochylił się nad nie i patrzył. Zerkął tylko niekiedy czy panna się nie pokaże, ale tej ani słyhu nie było.

Raz po raz wygrał dwie partye Łowczy i to go w humor dobry wprawiło. Godzina wieczery się zbliżała, podano wódkę... Znów tedy Wysocki zagaił o gospodarstwie i otrzymał knsą odprawę.

Łowczy mu nie chybiał, ale ani nań patrzył, ciągle się do Jacka odzywał.

Na wieczere dopiero wyszły kobiety. Łowczyne przywitali przybyli. zaczęto siadać, manewrował Wy-

socki aby koło panny być, a tu Łowczy mu miejsce wskazał.

— Siadaj asindziej koło Jejmości.

Miejsce, nie można powiedzieć było honorowe. a no wolałby Wysocki niżej sięść a około Basi. przy której się znalazł Jacek; a ta zaraz się do niego śmiać i szeptać zaczęła, ani patrząc na Wysockiego.

Rozmawiał on z Łowczyną, a co spojrzał na tę parę, to mu na twarz krew występowała i czyniła ją brunatną. Oczy mu krwią zachodziły. Zrazami o mało się nie udusił i kaszą obwarzoną.

Wkrótce po wieczerzy, gdy jeszcze pan Jacek chwilę, jakby na przekorę Wysockiemu, z panną w oknie stał i cicho rozmawiał, wziął za czapkę i żegnać się począł.

P. Jacek też w ślady jego poszedł tak, że razem na konie siedli, i milcząc do wrót jechali. Grobli minąć nie było można. a obu tedy droga prowadziła. Nie chcąc się w gawędę wdawać, Zadorski konia ściągnął i chciał przyzostać. Wysocki też swojego trzymał. Chciał Jacek go wyprzedzić, począł i ten klusa, tak że ramię w ramię jechać musieli.

Tylko coraz Ksawery na jadącego patrzył a wężsa pokrecał i chrząkał.

Zdawał się go wyzwąć — ale Jacek nie słuchał.

Dobili się tak do Krzyża, a tu już myślał Jacek, doskonale drogi znając, minawszy groblę, uskoczyć w bok i towarzysza się pozbyć. Czuł, że będzie szukał zaczepki.

W tem ledwie się przeżegnali pod figurą, Wysocki chrząknął jeszcze mocniej niż wprzód i odezwał się:

— Za pozwoleniem.

— A co tam?

— Trzeba byśmy się rozmówili.

— Jak trzeba? czemu nie! cóż to tam jest? — spytał Zadorski.

— Jakbyś to asindziej nie wiedział, podnosząc głos Wysocki. Sroki o tem na płocie gadają, że ja się

o pannę Barbarę staram, nie od wczora, sześć lat temu minęło na N. Pannę Zielną. kiedym ją upodobał i poprzysiągłem, że moją musi być. Kto mi w drogę włązi, nie przepuszcze.

Trochę pomilczawszy. odezwał się Jacek:

— Ino się nie gorączuj pan. proszę. Mówmy jak należy. Pierwsza rzecz. jeszcze to niewiadomo czy ja panu w drogę włożę!

— E! bratku — zaśpiewał Wysocki. Komu wiadomo komu nie wiadomo, a ja to dobrze wiem... Otoż...

— Za pozwoleniem—przerwał Jacek. Druga rzecz w tem, jak pana nie zechce panna Barbara. to dla tego do klasztoru ma iść?!

— Ja się nie pytam chce czy nie, musi moją być! — wrzasnął Wysocki, — Niechaj się wypłacze z razu, ja w tem że szczęśliwą będzie.

— A jak serca nie ma?

— Z sercem to ja tam sobie rady dam — to moja sprawa — zawołał Wysocki. Ja to tylko powiadam asindziejowi żebyś mi w drogę nie wchodził, bo co innych spotkało to go czeka.

Jacek żeby drgnął.

— Wola Boża — rzekł — mnie. gdybym co na myśli miał, od panny nie odpędzić strachem jak wróble z prosa!

Wysocki z koniem na niego natarł.

— To się bij. psia wiaro.

— To się będziemy bili, rozbójniku jakiś — krzyknął Jacek — ale nie jak hajdamaki po nocy na gościńcu. ale jak się należy. przy drnchach...

Jakoś Wysocki, choć mu ślina z ust bryzgała, pomiarkował się i zawołał:

— Tu nie ma co długo gadać; naznacz miejsce, wyrąbać się musimy.

— A no, jutro, i to rano — rzekł Jacek spokojnie — na Borsuczych jamach...

To powiedziawszy, ani zważając już na Wysockiego, konia spარł i pusił się w swą drogę.

Co tam myślał jadąc, jednemu Bogu wiadomo. bo i szczęście wioził i biedę z sobą.

We dworze już cicho było. gdy do Kodnia przyjechał. ale na górcę u Koninszego świeciło się. Konia oddawszy. wprost poszedł do niego.

Stary miał taki zwyczaj. bo mu uklęczeć było trudno. iż pacierze chodzący odmawiał, a tylko w partykularnych miejscach przyklękał trochę. właśnie koronkę odmawiał, gdy Jacek nadszedł. a czekać musiał aż ją skończy i w piersi się bić zacznie.

— Jak się masz? — zapytał stary — a co! w Wólce zdrowi?

— Zdrowi, chwała Bogu.

— Masz ty co do mnie?

Jacek go w ramię pocałował.

— Na rękę mnie wyzwał ten Haraburda Ksawery, bo mu się zda, że ja mu do panny przeszkadzam. Jutro rano na Borsucznych jamach.

Koniuszy pomyślał.

— Chcesz bym był z tobą? — spytał.

— Proszę jak o łaskę.

— Ja nie wiem jak ty się bijesz? hę?

— Niezgorzej, wola Boża — rzekł Jacek — pokresuje mnie, aby nie po twarzy. bo ja do mężatek się nie umizgam. a takich tylko na licu znaczą.

Koniuszy ramionami ruszył.

— Pokaż szablę — rzekł.

Poszli do świecy; przygiął ją o podłogę raz, drugi stary, machnął i skrzywił się.

— To rzezak, a nie szabla... chyba ci inną dam.

— Do tamtej ręka niezwykła — odezwał się Jacek. — Szabla choćby najlepsza, jak koń trzeba się z nią znać.

— I to racya! Jak ci ona do garści. wola twa. Nie ma tu co długo gadać; jutro razem wyjedziemy rano, a co Pan Bóg zgotował. niech się dzieje wola Jego. Tylko, ja ci powiadam. z takim rzezakiem jabym się nie ważył.

Zadorski ręką machnął.

Do dnia biały mroźnik niespodzianie wystąpił. ale słońko świeciło wesoło, gdy na Borsucze jamy przybyli.

Był to pagórek piaszczysty. do koła z rzadka drzewa. a borsuczych jam od dawna ani śladu, tylko o nich podanie.

Prawie razem nadjechali z zasapanem Wysockim. z którym jechał szwagier jego Łączewski. Gadania nie było dużo.

— Na szable?

— Na szable.

Zakasali polę. długonogi Wysocki osadził się na swych widłach mocno. Koniuszy dał znak i ścięli się.

Miał Wysocki za sobą długie ręce, wzrost nieco większy, a i dyabła za skórą. gdy Jacek zimno szedł, jakby do śniadania. ale wywijał się bardzo zręcznie. Kilka razy szable zabrzęczały. wtem Zadorski uderzył swoją Wysockiego w pięść i szablą mu z garści wyciął.

W tejże samej chwili. nim się tamten opamiętał. Jacek przyskoczył, chwycił go w pól i niesłychana rzecz. podniósł go od ziemi tyle. ile było potrzeba, aby równowagę stracił i obalił go jak kłodę, sam nań lejąc i tuż kolanami na piersi nacisnąwszy. za gardło go dusić zaczął.

Wysockiemu i tchu zabrakło i twarz krwią nabiegła. Przyjaciele głowy potracili, Łączewski nie uspiął w pomoc, gdy pan Ksawery już chrypiał. jakby dogorywał.

— Puść go! — krzyknął szwagier.

— Nie puszczę bo jest w mej mocy — zawrzeszczał już rozpalony Jacek — nie puszczę a zaduszę. jeśli nie da słowa. że panny oprymować nie będzie.

Wywijał się z pod Zadorskiego Wysocki, ale rady dać nie mógł: popuścił mu nieco Jacek. powtarzając:

— Słowo daj!

Ksawery ostatkiem głosu — co miał czynić — odparł:

— Daję! daję!

Zadorski wnet puścił a odskoczył. a Łączewski przypadł podnieść i ratować, bo się ślaniał i ledwie dyszał.

— Takiego pojedynku jak świat światem nikt nie słyszał—krzyczał szwagier.

Koniuszy też milczał. Jacek ani zważał. Wytrąconą szablę podniósłszy Łączewski. gdy się z piasku otrzepali, poprowadził Wysockiego do koni.

Na tem koniec się stal i słowo było dane, ale to czuli wszyscy. że koniec być nie może walce co się tak nieprawidłowo rozwiązała.

— Nie ma co mówić, gracko się spisałeś — rzekł Koniuszy — siła i zręczność dyabła. a no, synku, jakos to nie po naszymu... On tego despektu ci nie daruje Fraszka kogo płać, ale na piersi mu sięść i gardło tak zdusić—to tyle co policzek znaczy. Więc to sobie pamiętaj—na tem nie koniec.

— To niech będzie początek!—odparł pot ocierając Jacek.

Nie wiadomo zkąd się wzięło dodać staremu.

— Między nami mówiąc. borykać się tak. to nie szlachecka a chłopska rzecz...

Zczerwieniał się okrutnie Zadorski i ramionami ruszył tylko.

— Będzie sznkał zwady, jak sobie chce—dodał namyśliwszy się—ale na to słowo dał, że panny oprymować nie będzie...

Umówili się potem ze starym. że o pojedynku całym milczeć będą i ani pisać, pewni, że ani Wysocki ani Łączewski się nim chwalić nie będą. A że często tak razem w pola i lasy jeździli z Koniuszym. gdy nazad powrócili. nikt się tak dalece niczego nie domyślał.

Cicho było. Kilka dni wytrzymałszy Zadorski wieczorem znowu do Wólki się wyprosił. Choć panna mówiła mu, że do Krzyża co dzień chadzała wieczorem, tego dnia jej nie było. Łowczy z ekonomem przybyłym

z drugiego folwarku. konferował, a w ganku, jakby sam Pan Bóg zrządził. zaszła mu drogę Łowczyna.

Weszli z nią do izby gościnnej. Po pierwszym przywitaniu, Jacek. niedługo czekając. bo się przybycia Łowczego obawiał, do kolan się uniżył.

— Pani Łowczyno dobrodziejko—rzekł pokornie — choć niegodny waszej łaski, do niej się uciekam. Wiem to dobrze, iż mi aspirować do ręki panny Barbary nie godziłoby się, ale ją kocham wielce. Ratujże mnie w tej opresyi.

I gdy ją po rękach całował, Łowczyna prędko wstawać kazała.

— Śmierć i żona. przeznaczona — rzekła — tać nie mam co. iż wiem, jako Basia asindziejowi sprzyja. Mój stary może będzie trochę grymasił, ale go powoli nechodziemy. Bądźcie dobrej myśli.

Zaraz tedy posadziwszy Jacka przy sobie, poczęła matka pytać go o procedencją, jak, z kąd. co?

Tu. jeśli nie kłamać było, przynajmniej prawdę obchodzić. aby jej nie tknąć. Przyznał się szczerze i otwarcie Zodorski, iż jak palec sierotą był, nie wiele o sobie wiedział, na łasce ludzi się wychował.

Wzdychała Łowczyna, widać było jednak z mowy jej. że co do szlacheństwa ani o niem powątpiewała, bo naówczas trudno było przypuścić nawet, ażeby niezaszczycony klejnotem. mógł się poważyć o szlachciankę.

Nierychło Łowczy zbywszy się ekonomą, przyszedł kwaśny. bo mu ten coś złego przywiózł. Nawet w warcaby już grać nie chciał, do żony się zbliżył i przed nią swe żale rozwodził.

Wyszła i panna Barbara. która umiała zręcznie kawalera na bok odprowadzić.

— Mówiliście z matką? — zapytała

— A jakże! — kazała mi być dobrej myśli.

Wtem przerwała żywo:

— A z tym poganinem Wysockim. coś zrobił? Z oczów mu patrzyło, że przyczepki szukać będzie. jakby do mnie jakie prawo miał, a ja, choćbym do si-

wego włosa rutkę siać miała, gdyby on na świecie jedu był a ja druga. nie wzięłabym go.

— Niechże panna Barbara będzie spokojna — rzekł śmiejąc się Jacek — bo mi słowo dał, że panny oprymować nie będzie.

— A toż jakim się cudem stało! — zapytała panna.

— Nic. tyłkom go tak mocno prosił o to — rzekł śmiejąc się Jacek — iż w końcu mi przyrzekł.

— A no, żarty! — zawołała Basia.

— Klnę się na pocziwość moją, prawda.

— Lecz jakże może być, aby ten zawadyaka się dał przekonać i uprosić?

— Dosyć, że tak jest jak mówię — zamknął Jacek.

Panna popatrzyła nań długo, potem go obesła do koła.

— Nie jesteś waćpan ranny? — zapytała.

— Anim był, ani jestem.

— Aleś się waćpan bił z nim? mów — rzekła nakazująco.

— Coś tam nakształt tego było — odparł naciśnięty Zadorski — ale przeszło szczęśliwie.

Radośnie zaświeciły się oczy pannie Barbarze.

— Bóg widzi — rzekła pocichu — poczynam wierzyć, że to już przeznaczenie nasze. jeżeli i Wysocki ustąpił. To dla mnie znak, iż w tem wola Boża jest.

Krótko zabawiwszy pojechał Jacek do domu, kilka dui zostawując Łowczynię, aby mu starego przygotowała.

Koniuszy go badał, ale jeszcze mu się nie zwierzył, czekał aż się sprawa wyklaruje.

Wysocki mieszkał o milę tylko od Wólki we własnej wiosce nie wielkiej, ale dosyć zagospodarowanej. Siostrę za Łączewskiego wydawszy, sam z matką staruszką siedział we dworku nie wielkim, zabawiając się jarmarkami i polowaniem. Matka Skarbnikowa, osoba już w późnym wieku, zupełnie była głucha i dla tego mało się ludziom pokazywała, cała będąc nabożenstwem oddana. Głuchota jej służyła na dobre, boć o panu Ksawerym nie słyszała co mówili ludzie.

Ksawerek szkół nie skończywszy, gdyż mu do nich wstyd chodzić było. tak zawczasu wyrósł na ogromnego drągala — powrócił do domu i życie zaczął po swej myśli. Konie i strzelba za wszystko mu stały. a za kołnierz też nie wylewał.

Życie lubił i zwady nie unikał. Ponieważ mu się z szablą dosyć szczęściło, bo i sam nie obrywał, i drugich znaczył. a krew im puszczał. miał się pan Ksawery za niezwyciężonego. Ztąd ta myśl szalona. gdy od panny Barbary dostał odprawę. do niej nie dopuścić nikogo. Zaklął się, że ją musi mieć. Łączewski szwagier jego, człek spokojny, dobry. ponieważ małą miał substancją a żona mu niezły posag wniosła i Skarbnikową miał za wielką osobę. a rodzinę jej za wielce dystygowaną. więc się wysługiwał szwagrowi i posłuszny mu był.

W tym też razie stanął na rozkaz p. Ksawerego. najpewniejszym będąc że się spotkanie skończy zwykłym tryumfem. Stało się inaczej. Wysocki odjeżdżał przyduszony, wściekły tak. że mówić nie mógł. Łączewski nie śmiał się odzywać, włókł się za nim. Ujechali kawał dobry, póki Ksawery przyszedłszy nieco do siebie, nie odwrócił się ku Łączewskiemu.

Straszno nań było patrzeć, tak jeszcze siną miał twarz.

— Ani mru! mru! — rzekł, rękę podnosząc.

— Dałem słowo. że panny oprymować nie będę! Pal ją dyabli—dodał Wysocki — a że jemu nie daruję, to nie...

Łączewski głową potwierdzał wszystko...

— Podeszedł mnie podłą zdradą!—krzyczał długiemi ręczyskami wywijając Wysocki — a no! pozna on mnie teraz... Panny oprymować nie będę, ale jemu się we znaki dam, znajdzie on mnie wszędzie... Nie daruję! nie daruję. jakim szlachcic. nie przebaczę... Nogami go podepczę! uogami! Sto biznuów. mało. gardło da! gardło da!

Wykrzykiwał tak Wysocki, aż chrypl. a sierdził

się. że kon pod nim idący się zachął, a co ten się rzucił. walił batem i na koniu się naprzód skrupiło.

Łączewski. choć mu konia było żal. nie pisał ani słowa. nie będąc pewny żeby mu się też batem nie dostało. W takiej był pasyi p. Ksawery.

Gdy się dobili do domu. trzy dni Wysocki. nie puszczając szwagra od siebie. radził co miał zrobić. Mowa była o zasadzce i bizunach, o spotkaniu gdzieś. o nowym wyzwaniu. o różnych pomstach. i ledwie nie ledwie Łączewski skłonił szwagra do tego, ażeby dał sobie czas do namysłu.

Przystał na to p. Ksawery. szwagier rad. że się uwolnił. odjechał do domu. a Wysocki. nie mogąc zapomnieć swej krzywdy. chodził z nią jak z kamieniem na piersi.

Wszystkim w oczy wpadało. że się zmienił. z ludzi nikt do niego przystąpić nie mógł. tak był zły. Nie mu nie smakowało.

Medytując nad zemstą ciągle. trutynując. jak powiadał. sprawę swą. nakoniec doszedł do tego. że z pełną nie wiedział nawet kto był ten zuchwalec. który go pokonał.

Skarbnikowa swojego czasu miała stosunki. Wysocki z nią. jeszcze za młodszych lat. bywał w Kodniu. przyszło mu na myśl. pojechać się księżnie submitować i na miejscu szukać języka.

Myślał też a nuż mu się nawinie okazać do nowej zaczepki. a obiecywał sobie jej szukać.

Gorączka go taka paliła. że gdy myśl powziął. natychmiast do kufra poszedł. żeby garnitur sobie wybrać co najlepszy po nieboszczyku ojcu. który na nim leżał jak ulał.

Matce na migach pokazał. że u księżnej chce być. co mu bardzo pochwaliła. Następującego dnia przypadała niedziela. więc i nabożeństwo przed cudowym obrazem. Składało się jak najlepiej.

W kościele zaraz spostrzegł strażnika koronnego. którego znał i pokłonił mu się. a po mszy świętej z nim razem poszedł do dworu.

Koniuszy, który był na mszy. spostrzegłszy go, szepnął Jackowi na ucho, wychodząc z kościoła:

— A no go masz! Widziałeś? Wysocki przyjechał.

— A mnie on co obchodzi!—odparł Jacek.

— Że on tu nie bez myśli przyjechał, tobym gardło dał—dokończył stary—a no da się to widzieć. Miej się na baczności.

Więcej daleko od Jacka na oku miał przybyłego Wysockiego. Koniuszy. Postrzegł, że do strażnika przylgnął naprzód, a miał też tu innych znajomych. do których należał starszy sekretarz księżnej Długoszewski. Ten Jacka nie znosił i nosem nań kręcił, z dawna się odgrazając, że go wyforuje. Poszło to ztąd naprzód, iż strażnik go lubił, więc z zazdrości, powtórę, iż dwa czy trzy razy w różnych kwestyach, Zadorski miał po sobie słuszność i przy swem się utrzymał.

Długoszewski wykrętny, przebiegły, nie patrzący środków byle do celu dojść był postrachem całego dworu. bo donosił po cichu, a trzymał się mocno, gdyż wiele wiedział.

Ospowaty. mały, z wąsikiem jak sznureczek pod nosem, burczący. obchodzący się ostro z podwładnymi. Długoszewski lubionym nie był. Żona jego i on postrachem byli ludzi, gdy księżna przyjeżdżała. bo oboje do niej chodzili z plotkami. Po obiedzie zaraz postrzegł Koniuszy, że Wysocki poszedł do dworku Sekretarza.

Radzi mu tam byli, bo go jako dziedzica wioski i obywatela estymowano. Jejmości samej nie było. Długoszewski na węgrzyna zaprosił. Po drugim czy trzecim kieliszku—odezwał się Wysocki.

— Co to wy tu za młokosa macie w kancelaryi, który mi się koło nosa przewija... a do Wólki jeździ, bo-
daj nie do Łowczanki!

— No, chyba ten Zadorski!—rzekł Długoszewski.

— Tak jest, Zadorski. Cóż to za jeden? z kąd?

— Kat go wie? Przybłęda jakiś. ja go cierpieć nie mogę, bo zuchwały?

— Kto go tu wam dał?

— Strażnikowi bodaj w Białej go naraili. gdy po
trzebował do przepisywania.

Spostrzegł pan sekretarz, że Wysocki podzielał
jego usposobienia. i dołożył:

— Tylko co nie widać jak ja go ztąd wyforuję, bo
mi śmierzdi!

Wysocki popił to winem...

— Z których-że to stron ten jegomość?

— Otóż to, że pytaj nie pytaj. to się nie dowiesz
Ani swata, ani brata... Coś mi to nie do gustu...

— Ma się do Łowczanki! — wtrącił Wysocki.

— Z tego to nie będzie nic — dołożył Długoszewski.
ja mu tam stołka przystawię. Łowczy za nieznajomego
przybędę nie wyda.

— Nie powinienby, ale on bo z panną coś się zwa-
chał — dodał Wysocki.

— Panna śmiała i takie ma obejście się z ludźmi —
rzekł sekretarz — ale żeby się z lada kim wdała. nie
sądzę. A cóż z wami?

Na to pytanie stuknął lampką Wysocki o stół.

— Jam jej dał za wygraną — rzekł.

— O! o! — przerwał sekretarz.

— Jakem żyw, nie ona jedna w świecie.

Sekretarzowi, który i pozbyć się chciał Rejen-
tówniej i razem jej przysłużyć, przyszła na myśl Kła-
ryssa. Nie była to, właściwie rzekłszy. partya dla
Wysockiego, ale kilka tysięcy dukatów, które miała
na pewno. więcej były warte. niż wioseczka pana Ksa-
werego.

Przysnął się do niego.

— E! gdyby pann Skarbnikowiczowi bardzo o mło-
dość nie chodziło — począł cicho — zdałaby mu się Re-
jentówna nasza. Osoba, fu! fu! głowa ministeryalna!
maniery, jak naszej księżnej. choć na królewskie po-
koje! Wcale przystojna, a pod poduszką gotówka. kilka
tysięcy dukatów. Co pan na to? Ja w tem. że byleś
rękę wyciągnął, to ją weźmiesz.

Namyslił się Ksawery i zapytał:

— Jak mówicie? ile ich tysięcy...

— Za pięć, praeter propter można ręczyć, a księżna też jej nie puści bez wywdzięczenia się, bo, ja i ona, wiemy dużo! o! o!

Wysocki jeszcze myślał.

— Nie do odrzucenia by to było — odezwał się — tylko trzeba by choć zobaczyć...

— Chodźmy do niej! — zawołał sekretarz.

— Jak! zaraz? teraz.

— A no! odkładane na nic się nie zdało...

Nie bardzo się dał prosić Wysocki i poszli. Wprowadził go Długoszewski z tyłu wprost do pokoju pauny, która się wcale odwiedzin tych nie spodziewała. Zdumiała ją nieco, ale odgadła cel natychmiast. Wysockiego знаła z widzenia i słuchu. Przyjęła ich nader nprzejmie. a pan Ksawery mógł się przekonać, po świeżej bytności n księżnej, że to była wierna jej kopia przez niezłego artystę wykonana, tak naśladowała ruchy, mowę, miny, akcent swej pani.

Pan Ksawery nie piękny był, lecz wiele mówiło za nim, młodość, obywatelstwo, wioska, tytułik po ojcu... Panna Klaryssa baczuie się przypatrywała. W rozmowie Ksawery nie wiele okazał dowcipu, ale o to wyposażenie do stanu małżeńskiego nie chodziło wcale. miała go za dwoje Rejentówna.

Wolała nawet takiego, nad którym wyższość miała zapewnioną. Siedzieli z pół godziny, w czasie której prawie sama panna Klaryssa mówiła ciągle, a gdy pożegnawszy się wychodzili, szepnęła na ucho Długoszewskiemu:

— Jak ma co z tego być, niechaj nie marudzi!

W środku dziedzińca zaś Ksawery obrócił się do sekretarza i powiedział mu:

— Słowo daję, nie od tego jestem Knta, knta!

Rozśmiał się Długoszewski i podszepnął:

— Na pewniaka idź pan, byle na zbyt nie zwlekać...

Kiwnął głową Wysocki, miał czas pomyśleć że, naprzód Łowczanka nie wiadomo czy pięć tysięcy wyposażenia otrzyma, a powtóre, gdy się jej wyrzekł, do-

brze było pokazać, iż ze dworn księżnej pannę może dostać.

— Niechaj zna!—pomyślał sobie.

Tegoż wieczora Koninszy się zszedł w stajni z Jackiem.

— A co! — rzekł — bodaj byśmy nie mieli wesela; przysięgnę, że Długoszewski tego drągała swata Rejentównie. Jeżeli to przyjdzie do skutku, asindziejowi może być nie na rękę.

— A to jak?

— Bo i Rejentówna ma anse, żeś jej nie chciał, gdy ona widocznie go ciągnęła, no. i ten długonogi nierychło opuchłe gardło zapomni.

— A co mnie tam! — westchnął Jacek—ja spodziewam się nie mieć z nimi żadnej sprawy.

— Byle oni jej nie sznkali—dodał Drobisz po cichu. Bać się nie ma czego, a pogardzać nie życzę.

Panna Rejentówna i sekretarz niespodzianie a szczęśliwie rozpoczynając sprawę z Wysockim, nie zaspali gruszek w popiele. Otrzymał zaraz zaproszenie od Długoszewskiego na obiad pan Ksawery, na którym panna była tak strojna w łupy na księżnie zdobyte, że się sama nią być wydawała. Po obiedzie zostawiono ich tak. aby swobodnie romansować mogli, do czego panna miała i dar i doświadczenie. Ksawery upił się nie winem, ale jej wejrzeniami, a węża kręcił stojąc przed nią i już najformalniej oczami się oświadczał..

Zasiedział się do wieczora, ofiarował się odprowadzać, co zostało przyjętem, potem jeszcze z godzinę u niej został. i nocą późną do domu powrócił.

Nazajutrz konfidencyjnalnie powiedziała Klaryssa Zielońskiej:

— Moja kochasin! Już podobno teraz to ja ci mego miejsca ustąpię! Coś się święci.

— Aby pewno!—odparła przyjaciółka.

— Drągłowaty chłopak. ale młody zakochał się aż śmiech—szepnęła Klaryssa—wioskę ma, possesyonat, cóż ty chcesz?!

Nec Hercules. contra plures. powiada przysłowie źle rymowane; pan Łowczy, mając przeciwko sobie żonę, córkę i w dodatku młodzieńca, który mu się za zięcia swatał, bronił się z początku mężnie. pana Jacka woląc przy warcabach niż przy córce. po kilku dniach jednak, w domu nie mając pokoju, znajdując ciągle kwaśne twarze i nadąsane kobiety—nległ.

— Róbcieź sobie co chcecie—zawołał. — Basia tak się wyśpi jak sobie pościele.

Zaczęto mn dziękować, co on dosyć ponuro przyjmował, ale słowo raz rzekłszy. odwołać go nie chciał. Gdy, na dany znak. zjawił się w Wólce Zadorski. już wszystko było tak nakartowane, że do nóg tylko potrzebował upaść i podziękować za niezasłużoną łaskę p. Łowczego, za którą do zgonu obiecywał mn być wdzięcznym.

— Pamiętaj asindziej tylko, aby Basia szczęśliwą była. jej winienesz za efekt wdzięczność, bo miała konkurentów nie mało i z kolligacyami i posesyjonatów, a waszmości wybrała...

Pierścionki tymczasowo zamieniono, a że ślubem potrzeba było czekać. aż się znajdzie jaka dzierzawa, lub pana Łowczego zwolna da się przekonać, iż co miał płacić posag gotówką, mógł odstąpić jedną ze swych licznych posesyj dla nowożeńców. Spodziewały się matka z córką. że do tego ojca przyprowadzą. Termin ślubu nie był jeszcze postanowiony, chociaż Basia wyprawę swą całą aż do najdrobniejszej fręzelki miała gotową i w kufry nawet popakowaną.

Za to nieszczęśliwy Jacek wykwapować się potrzebował od butów poczynając, a na to nie miał prawie nic. Rodzice wprowadzili ofiarowali mu się zebrać co tylko mogli przy swem ubóstwie, ale do nich się uciekać boleśnie było Jackowi, i odzierać ich z ostatniego.

Szczęśliwy i nieszczęśliwy razem. powrócił tego dnia do Kódnia, i gdy konia w stajni swoim zwyczajem doglądał. zjawił się stary Drobisz.

Koninszy był bo ciekawy wszystkiego, co się dotyczyło Zadorskiego. jak gdyby go z nim węzeł jaki łączył.

— No, a co tam przywozisz? — spytał.

— I szczęście i troskę — odparł Jacek — oboje za wielkie dla mnie! Jak im podołam. jeden Bóg wie. co mi je dał.

— Tandem — cóż takiego!

— Mam obietnicę rodziców i słowo panny. pierścionkiśmy zamienili — a dalej!

Westchnął tylko.

— Ba co ma być dalej. pójdziecie do ołtarza i kwita.

— Tak w tym kontnsiku co na mnie? — spytał Jacek, i w tych nowo podzielowanych bntach?

— O! to furda! — odparł Koninszy — panna grunt reszta się znajdzie.

Ale gdzie jej było szukać i znaleźć. tego Drobisz nie mówił. a Jacek napróżno głowę łamał. Przychodziły mu myśli różne, wszystkie tak nedorzeczne, że się z niemi popisywać nie mógł. Jeździł tymczasem co wieczora do Wólki. z panną jako oblubieniec przesiedywał na gawędkach godzinami, przed nią się jednak nie przyznawał do nieporadności swej i lepszą miną nadrabiał. niż miał w istocie. Zaledwie się rozeszli, pośepniał i desperował.

Panna Barbara nwiadamiiała go o postępach. jakie z matką czyniły. ojca usiłując skłonić. aby Zarucze, im puścił. Stary jeszcze, jak zwykle. wykrzykiwał, że go chcą zarzuwać i to jeszcze tępym nożem. ale zwolna już miękł i zaczynał tylko czynić różne ekscypcy i zastrzeżenia. Miały więc nadzieję, że się zgodzi na to w końcu.

A tu im bliżej było pożądanego końca tego, tem większy strach opanowywał biedaka, który całego majątku miał kontusz codzienny cum attinentiis; parę bntów od dni powszednich i błota, i i t e m drugi garnitur odświętny. dobrze przechowany z butami

safranowemi, szabelkę jedną, którą Koniuszy rzezakiem przezywał, siodło na konia i kilinków parę.

Do wesela zaś, choćby najskromniej wystąpić przyszło, dużo więcej potrzebował, aby go nie wyśmiewano. O żadnym przepychu mowy być nie mogło, tylko o tem. co konieczne.

Gdy jednego dnia. powróciwszy od Łowczanki, zapadł w niezmierny smutek i aprehensją, a na łokciu się podparłszy medytował w swej izdebce, co ma począć; wszedł z pozdrowieniem chrześcijańskim Koniuszy.

— Co ty u kata tak się zafrasowujesz? — zawołał — To ostatnia rzecz! Wodę warzyć woda będzie, tak i z głupim smutkiem, z którego nie wybrnąć wzdychając. Ot! ja do ciebie przyszedłem z lekarstwem na frasunek.

To mówiąc siadł na twardem łóżeczku Zadorskiego.

— Powiem ci, że mam oto głupi kapitalik, z którym nie wiem co robić. Księżnie go nie dam, bo, najzaczniejsza pani w świecie, ale swoje i cudze je i traci — ani bym się kiedy z tem zobaczył. Zawszem sobie myślał dać w młode, pocziwe ręce tych tam kilka tysięcy. Ja ci je na wesele pożyczę!

Spojrzał na Jacka. który słuchał. a nszom nie wierzył.

— Co panu takiego! — odparł — a gdzież u mnie ewikcja, na cznprynie! Chyba żartniesz ze mnie? jakżebym ja się ważył to wziąć. tę krwawicę waszą?

— Otóż masz! — zawołał Koniuszy. — Toż ty rozznuniejszy odemnie! Niby ja nie wiem co robię! Ja właśnie szkam honoru nie ewikcji, sumienia a nie intabulacji i dla tego ci się z moim kapitalikiem napraszam.

— Panie Koniuszy — zawołał Jacek — nie kuś że nieszczęśliwego!

— A ty Jacuś starych rozumu nie ucz! Bierz co ci z dobrego serca daję. Suma nie tak wielka, trzy tysiące złotych talarami bitymi. Oddasz mi ratami,

powoli, bo ja gwałtem odbierać nie będę, ani ryczałtem. Prowizji mi nawet dasz pięć od sta! Żadnej ci łaski nie robię.

— Panie Koniuszy! — krzyknął Jacek łamiąc ręce — a czem że ja na to zasłużyłem?

— Nie potrzeba się było zasługiwać — rzekł stary. — Ręka rękę myje, dla mnie to dogodnie. Powiadam ci, w kuferku je trzymając. choć zamczysty, niepokój taki, że sobie rady dać trudno. Uchowaj Boże ognia! uchowaj złodzieja! Dalej szlachta. co ma taki uos. że talar przez piątą skórę pocznje, panowie goli — wszystko to się umizga do sepecika... Człek się zbędzie... Panu Bogu podziękuj.

Słuchał tego wykładu Zadorski i nie wiedział co już mówić; poszedł go w kolana całować. a z pieniędzy się wynawiać, Drobisz i słuchać nie chciał.

— Musisz wziąć — dokończył. — U nas biednej szlachty jest ta maxyma od wieków, że my jedna krew, jeden ród i żeśmy szczególnieź zubożałym swojakom pomagać powinni.

Czuł Jacek, że z tego tytułu wcale do pomocy prawa nie miał, ale jakże się miał z tem zdradzić? Drobisz nie uspokoił się, aż owych bitych talarów nie odniósł i nie wziął skryptu.

— I żebyś mi o tem nikomu słowa nie pisał — dodał — bo mnie wezmą za kapitalistę i spokoju nie będę miał.

Wielki tedy kamień spadł z serca Jackowi, który zaraz o ekwipowaniu się myśleć zaczął. Lecz nie mógł tego przenieść na siebie, teraz gdy już zbliżało się ożenienie, aby do rodziców się nie wykradł po błogosławieństwo i ich o wszystkim nie zawiadomił.

Z panem sekretarzem o urlop nie potrzebował teraz bardzo się ngryzać. bo gotów był już zupełnie służbę opuścić. Długoszewski właśnie to przeczuwając, udawał, że nie rozumie o co idzie i uwolnić go się opierał.

— Cóż to acan — mówił — naprzód się nam wprosiłeś, wcisnąłeś do kancelarji, a teraz, gdy jakas

chandra przyszła, chcesz sobie tak samowolnie służyć rznać! Ja nie mam go kim zastąpić, i do końca roku musisz aca zostać.

Nie chcąc się spierać z sekretarzem. Jacek o urlop na dni kilka tylko prosił. zwłaszcza że Strażnik Koronny odjechał był, i pilnej roboty nie było: na urlop więc. po długich sporach, sekretarz się zgodził.

Jacek otrzymawszy go, siadł na białego i tą samą drogą co pierwszą razą, puścił się do chaty leśnika. Jechał teraz weselszy i swobodniejszy. bo od czasu jak rodziców widział, dużo się rzeczy zmieniło na lepsze. Nadzieja jakiejś przyszłości w serce wstępowała. a sumienie się uspokoiło. Różnemi sofizmami Jacek je do milczenia zmąsił.

Znowu tedy na nocleg przybył do karczemki. a drugiego dnia pod wieczór do znajomej zbliżał się zagrody.

Jeszcze jednak kawał drogi miał do przebycia, gdy nagle rozdzierające serce posłyszał krzyki. Pochodziły one z niedalekiego miejsca. a głos co tak boleśnie jęczał, wołając ratunku, zdał mu się być znany ojca jego głosem.

Z niewypowiedzianem wzruszeniem, konia popędził natychmiast co mógł wyskoczyć i zaledwie kilkadziesiąt kroków zrobiwszy. ujrzał jak Mazanowski na koniu siedzący, starego Antoszka za kołnierz trzymał i po plecach razami okładał z furją. wrzeszcząc:

— A będziesz ty mi chamie jakiś, odpowiadał!

Nim się rozmyślił Jacek, już przypadłszy nagle do szlachcica i szabli dobywszy płażować go począł.

Mazanowski. jakby go piorun raził, obrócił się ku niemu.

— A tyś tu co za jeden. zbój! — zawołał.

— Tyś sam zbój, co starego niewinnego człeka krzywdzisz. Boga w sercu nie mając.

— A tobie co do tego? — wrzasnął do szabli się rwać Mazanowski. — Kto mi tu ma bronić. chama rozumu uczyć! Jam tu nad nim starszy! mam prawo!

— Nie masz ni prawa, ni serca! Sam nie możesz być i powodem i sędzią. Skarż, gdy winien.

— A ty jakiś! — krzyczał Mazanowski już nacierając na Jacka z szablą jak wściekły.

Stary Antoszek chwiejąc się na nogach ze strachu o syna, słowa nie śmiejąc rzecz. o drzewo się oparł i płakał.

Tymczasem Mazanowski jak siedział na koniu, tak też na konnego Jacka naciskał. Oba szable mieli w rękach i sięgali ku sobie. ale konie do takiej walki nieprzywykłe. zachęły się i nie dawały się im złożyć nawet. co wściekłość Mazanowskiego powiększało.

Widząc. że płazów odebranych nie pomści, szlachcic w końcu skoczył z konia z zapamiętałością wielką, a Jackowi nie było co czynić, musiał też bułanka porzucić.

Starli się tak na wąskiej drożynie, a że Mazanowski nie miał czasu pod nogi patrzeć i złość go oślepiła, ośliznął się na korzeniu sosny i chybnął gdy już płać miał. Jacek korzystając z tego znowu się po chłopsku spisał, bo za kark z tyłu chwycił, zatrząsł nim strasznie, i tak trzymając go w garści, niemiłosiernie płazować zaczął. Mazanowski stracił zupełnie przytomność. wyrwał się z żelaznych rąk, ślizgał, padał, a Jacek grzmocił go a grzmocił, aż zaczął wołać.

— Pardon — niech cię jasne pioruny biją—puszczaj i idź do piekła — zbój!

Że wśród tego szamotania się szabla była wypadła z rąk szlachcicowi, Jacek ją z ziemi podniósłszy, Mazanowskiego pnscił, a puszczając pchnął tak, że padł twarzą na ziemię w błoto.

Szablę zabrawszy. nie mówiąc słowa, odstąpił jeszcze drżący cały. siadł na bułanego i stanął.

Nieszczęśliwy Antoszek, świadek struchlały tej sceny. który czuł, że się jej na nim mścić będą, z trwogi nie wiedząc co robić, konia Mazanowskiego chwycił i wstającemu a twarz z błota ocierającemu. doprowadził. Szlachcic ukarany tak za swe okrucień-

stwo, był nieprzytomny, jak pijany się zataczał. Nie tyle odebrane razy go bolały. co srom jakiego doznał.. W passji postradał prawie zmysły, rzucił się na konia i rękę tylko z pięścią wyciągnawszy ku Jackowi z groźbą. w cwał lasem popędził..

Jacek też. jak tylko go nie stało. natychmiast z konia zsiadł i do biednego podbiegł ojca.

— A coś ty zrobił — wołał Antoszek — co ty najlepszego zrobiłeś? Niech by mnie był bił, nie pierwszy to raz. nie ostatni. duszy by z ciała nie wypędził.. a teraz!

Załamał ręce.

— To zajadły. wściekły człek! myślisz, że on ci to daruje. żeś go tak pokarał! Nie zapomni on tego do śmierci, wskrós ziemi pójdzie cię dla pomsty szukać! O! nieszczęśliwyż ja. nieszczęśliwy.

Jacek jak mógł i umiał, starał się go uspokajać, płakał biedny ojciec, i tak wlokąc się zasępieni oba, dobili się do chaty. w której niespokojna Maryś stara na męża czekała. Zobaczywszy z nim syna. skoczyła radośnie naprzeciw niego, ale pociecha krótką była, bo nie mogli przed nią tać co się stało. Trzeba się było przyznać a i o Jacku radzić zaraz. bo mu tu długo popasać u rodziców nie można było, gdyż Mazanowski lada chwilę mógł napaść. i to nie sam ale z ludźmi. albo zabić albo na śmierć zbić.

Zaledwie więc czas mieli się nściśnąć. popłakać, a Jacek ich o swem szczęściu uwiadomił. gdy już o odwołanie myśleć musiał. Na noc spuszczając się nie podobna było. konia nawet rozsiadłać nie dał ojciec, nasłuchując ciągle; a gdy koło północy księżyc w ostatniej kwadrze trochę rozświecił las, kazał siadać i jechać.

A miał przecznice dobre. bo ledwie się Zadorski w bok znajomymi ścieżynkami odbił trochę od chaty, gdy posłyszał jak ją do koła opasywano. Mazanowski spodziewając się, że ów nieznajomy u leśnika, którego obronił, nocuje. bo w pobliżu nie było gdzie zajechać.

zebrał swoich ludzi i strażników i ostawiał zagrody ze wszystkich stron.

Wpadł potem samotrzeć do chaty i nie posiadał się ze złości. przekonawszy, że tu już nikogo nie było. Szczęściem dla starego Antoszka, oszczędził go, aby nie rozpowiadał o płazowaniu. Musiał tylko wszystkich, co przyszli z tą obławą karmić i poić leśniczy, a gdy się popili, do dnia białego ich w chacie ugaszczać, gdzie mu brewerje dokazywali.

Jacek, który parę dni spodziewał się przebyć u rodziców, nie wiedział teraz czy ma do nich wrócić, czy nazad jechać do Kodnia. Namysliwszy się dopiero, bojąc o starych więcej niż o siebie, zawrócił do rezydencji.

Mazanowski napróżno się u Antoszki dowiadywał, kto był ów szlachcic Zadorski, imię jego bowiem zapamiętał, i jaką on miał służbę u księżnej. Leśniczy się zaparł, że go nie znał i nic o nim nie wiedział. Że szlachcic się mścić zechce, o tem Jacek był przekonany, lecz nie spodziewał się, aby tak mocno wziął do serca swe plagi; nie wiedział, że miał do czynienia z utrapieńcem znanym z tego, iż guzów szukał i guzy rozposażał ciągle. Los chciał, dając mu szczęście, przysporzyć też nieprzyjaciół, bo i Wysocki i przyszła jego żona i Długoszewski i teraz Mazanowski wszyscy wrogami mu byli. Doliczywszy do tego tych, którzy z nimi trzymać mogli — miał się czem niepokoić.

Gdy znowu tak zawczasie powrócił jak pierwszą razą do Kodnia, zdziwił się Koniuszy mocno. Jacek zaś nie mówiąc o co i o kogo szło, opowiedział mu, jaką z powodu okrutnego bicia starego człowieka, miał przygodę z Mazanowskim.

— A! bodajże cię! — krzyknął Koniuszy — po coż ci się było do tego mieszać! Świerzbą cię plecy także! Co ci było do tego, że chama, może i sprawiedliwie, łomotał!

— Ależ starca z siwemi włosami!

— Co by mnie siwizna jego obchodziła! — przerwał Koniuszy. — Z chłopami, że to jest naród wielce

krnąbrny i zuchwały a chytry, inaczej nie można tylko bizunem. Dobra to tam litość nad ludźmi, co są innej krwi i stanu, a nad prostem, grubem chłopstwem, nie ma się co rozpadać. I to ci powiem, że ja tego Mazanowskiego znam, to jest bies nie człek. On tego nie przeniesie. żeś mu taką ignominią zadał, i to jeszcze przy chłopie...

Miej że się na baczności, bo tu z jednej strony masz Wysockiego, z drugiej jego. jak się jeszcze zwyczajają, bo znają się, i to wiem, że Wysockiego na polowanie do Radziwiłłowskich lasów Mazanowski zaprasza... po prostu powiedziawszy, kiepska rzecz!!

— Panie Koniuszy — odparł Jacek — co się stało, odstać się nie może. Wola Boża.

— Pewnie, ale że źle się stało, to źle!!

O przygodzie tej zresztą ani Zadorski ani Koniuszy nie mówili nikomu. cicho było. a Jacek do wesela się przysposabiał. konie kupując, suknie sobie w Brześciu każąc szyć najlepszemu krawcowi, pierścionki już nawet ślubne gotując. Stał na nich napis ów stary:

Serce moje i twoje,
Połącz Boże oboje...

Co wieczora niemal bułanek nosił do Wólki rozkochanego, a panna Barbara teraz go coraz bliżej poznając, coraz się w nim więcej rozmiłowywała. Matka a nawet ojciec przekonując się, jak ich serca się miały ku sobie, widzieli w połączeniu ich prawdziwą wolę Bożą.

Marzył tylko Zadorski jako sobie guiazdło uścielą w Zaręczn. które ojciec już wypuścić chciał i dwór tam nawet naprawiać kazał. Zaszło mu czasem chmurą czoło. gdy rodziców przypomniawszy, pocieszał się tem. że ich ukradkiem widywać będzie. a i oni też choć w kościele czasami z daleka żonę jego zobaczą. O Wysockim i Mazanowskim mało co w końcu myślał. P. Ksawery swoją zemstę teraz zmuszony był odkładać, bo zakochawszy się. czasu nie miał o niej myśleć.

A tu się okazało najlepiej, co to może niewiasta już doświadczona i we wszystkie kunszty miłośne wprawna, bo Ksawery, któremu wiele młodszych i piękniejszych stręczono, nigdy tak nie zagorzał, nie zaślepił się, nie rozmiłował, jak w tej co nie była pierwszej młodości, i twarz już miała dosyć zbabiała, a przecież potrafiła go do tego stopnia przywiązać, że prawie dnia już bez niej wyżyć nie mógł. I okiem i słowem i uśmiechem, i śpiewką i gniewem i łaską tak nim władała, jak dobry berejter koniem, którego wodzami, głosem, piętą, ostrogą prowadzi kędy chce, i przez rów i na mur, i w ogień i w wodę.

Sam się sobie dziwował Wysocki, a nie poznawał siebie, a wyrwać się z pod panowania jej nie miał już sposobu. Wzdychał tylko do tej szczęśliwości, która go z nią spotkać miała. Prawda, że i księżna dla swej ulubienicy okazywała wielką przychylność z okazji tej konjunktury, bo naprzód całą garderobę bardzo kosztowną jej darowała, potem pensją dożywotnią obiecywała i w expektatywie zamiast gotówki na szpilki, bo tej zawsze w kasie brakło, kilkunastu chłopów na dożywocie wydzielić miała z dóbr Kodeńskich. Co się tyczy wiana, przyznała się narzeczonemu Rejentówna, że w gotowiźnie i na dwóch skryptach bardzo pewnych, miała przeszło sześć tysięcy czerwonych złotych, o których procedencji wytłumaczenie jej nie pytał. Był to owoc długich zabiegów, o których różnie prawiono, ale dzieło twórcę chwali.

Wysocki o pochodzenie dukatów ani myślał badać. Dawała mu do zrozumienia Rejentówna, że je po rodzinie w sukcesjach otrzymała.

Zbliżały się więc terminy weselne, a choć z obu stron nie wiadzano o sobie, prawie równocześnie przypaść miały...

Ksaweremu Wysockiemu, który koniecznie chciał czwórkę dla żony sprządz taką, aby się mógł nią pochwalić, licowego konia siwego brakło takiej miary i składu jak potrzebował. A był w tem wybredny, bo nie tylko maści chciał, figury w koniu, wieku, ale

Zadora.

i temperamentu. Trafiały się siwe, zawsze jednak to za grube, to za cienkie, to za jasne, to za gorące, to za wałowite.

Ktoś mu powiedział, że główny leśniczy, dobrze mu znany Mazanowski, ma klacz jak ulał do jego trójki. Więc już nie spał tego dnia Ksawery, a nazajutrz wprost jak w dym do Mazanowskiego. Strzelbę włożyć kazał do bryczki na wszelki wypadek, a nuż się trafi puknąć i ruszył.

Spotkali się w drodze i zaraz o konia zapytał Wysocki. Spojrzał na siwe Mazanowski i rzekł:

— Moja podejdzie do waszych doskonale, jak rodzona siostra, ale to bieda, że ona u mnie jak moje dziecko wypieszczona i za lada jakie pieniądze jej nie dam.

— Jedźmy no do tej siwej.

Gdy przybyli, a wyprowadzono Lebiecę ze stajni i postawiono ją przy koniach Wysockiego aż się w nim krew zagotowała. Nie mógł słowa rzec tylko cmoknął.

Mazanowski kazał do stajni odprowadzić, i jeszcze gdy szła patrzali na nią, bo gdyby paucienka, tańczyła z taką gracją, że kochać się w niej było.

— Co ty chcesz za nią?

— Potem o tem — rzekł Mazanowski — naprzód spocznij i zjedzmy.

„Zjedzmy“ u takich ludzi jak Wysocki i Mazanowski znaczyło — napijmy się. Zaczęli od dwóch kieliszków wódki do stołu siadając, i gąsior jeden do pieczystego wysuszyli, że kropli nie stało... Kazał Mazanowski drugi dać.

— Abyś nie myślał, że oficjalisty Radziwiłłowskiego na wino nie stało...

Pili siedząc długo, aż zaczęło im być gorąco.

Wysocki potniał z niecierpliwości co mu za klacz zaśpiewa, a co począł o niej — Mazanowski umyślnie odpalał.

— Pij no, będzie na to czasu — mnie tej klaczy się pozbyć, to jak trzonowego zęba.

Miarkował Ksawery, że jej łatwo nie dostanie, a cóż miał robić? czwartego konia zawsze się przepłaca. Powiedział sobie muszę go mieć, choćby ze mnie skórę zdarł.

Do wieczora pili, a po kolacyi pokładli się, bo już jeden i drugi bredzić zaczęli. Nazajutrz na czczo jak wsiadł na Mazanowskiego Ksawerek, a począł go całować, obsedować, prosić, do serca pukać, wziął klacz za pięćdziesiąt obrączkowych i dwa dukaty oduzdnego, co na owe czasy piękną ceną było. Musieli tedy targ oblać i zapieć i gąsiorek nowy wystąpił.

Wysocki, który gdy naczczo był więcej milczał i śmiał się niż mówił, gdy wino w sobie czuł, stawał się otworzysty do zbytku. Plótł niestworzone rzeczy. Począł szeroko opowiadać jak to się on kochał i starał lat sześć z czubem o Łowczankę, i jak mu ją z przed nosa wziął chłystek, golec niejaki Zadorski.

Gdy to imię wspomniał. Mazanowski' zaczerwienił się i pobladł, i gdyby nie zapieł sprawy, zdradziłby się.

Nie wstrzymał się Ksawery od poufnego zwierzenia ze swojego pojedynku, choć rzecz trochę ogłaszał.

W Mazanowskim kipiało, a wąsa kręcił aż włosy wyrывał.

— Ale na tem nie koniec — dodał Ksawery — on mi nie njdzie, ja mu tego nie daruję..

Ledwie Mazanowski dosłuchał do końca, gdy przez stół rękę wyciągnąwszy do Wysockiego zawołał:

— W to mi graj, i ja z tym bestyą mam rachunek.

— A to jaki? — spytał Ksawery.

Mazanowskiemu do całej prawdy przyznać się nie wypadało na żaden sposób, rzekł krótko:

— Przemówiliśmy się z nim.

Pili znowu. w tem gospodarz lampkę cisnąwszy z całej siły o stół — dodał:

— Nie chcę takiej kalumnii nawet na wroga rzucać, bo to znaczy infamią zadawać — ale, bodaj! bodaj! po kłębku do nici, żebym tylko nie doszedł. że szlachcicem nie jest, ale samozwańcem, oszustem, chłopem. chamem. synem starego leśnika. poddanym księcia mojego... O! żebym go mógł okuć w kajdanki, a dać na zamek do taczek..

Wysocki słuchając osłupiał, zimno mu się zrobiło. sama myśl ta, że go chłop bił i pobił była nie do zniesienia. Na zmycie tej plamy krwi było potrzeba.

Mazanowski począł po malutku ze złością taką zsiadłą jakąś. zaciętą, że straszniej było jej słuchać niż najnamiętniejszego wybuchu.

— Powoli, powoli! — mówił — po niteczce! niteczkę już cienką w rękę mam, spodziewam się z nią dojść do kłębka! Nie mówię jeszcze nic—ale w Panu Bogu nadzieja. że pomści zniewagę moją! Tropy są! dojdziemy!

— Ale możeż to być, aby prosty cham taki ważył się szlachcica udawać. szabli przypasywać i z nami za pan brat sobie chcieć żyć... Możeż to być. aby sięgnął po rękę córki szlacheckiej — kryminał!

— Dla tego nie mówię ja jeszcze nic—dodał cicho Mazanowski. bo zadać to komu a nie dowieść—też kryminał. Tyle tylko mogę dziś powiedzieć, że... podejrzenie wielkie i że się to wkrótce wyjaśnić musi.

Zmłczeli oba, i niemal wytrzeźwili się gniewem, jaki się w nich poruszył.

— Niech to będzie między nami—począł gospodarz pomilczawszy — dajmy sobie słowo! Sza! Zwierza gdy się nań poluje płoszyć nie trzeba... Sza!

Przysunął się do Wysockiego i na ucho szeptać zaczął:

— Ot jak to było. — Siedzi podemną na jednym dziale lasu stary strażnik, Antoszek... Chytra be-

stya. Żonę ma pono szlachciankę z Huszczy czy z Tuczej. Dzieci oni niby to nie mają. mieli synka. ten powiadają, umarł. Tymczasem doszedłem, że się on opiekował jakimś sierotą. że go do szkół w Białej księżom wścibił. i dowiadywał się... A to był ten sam Zadorski. I dwa razy już około chaty lesnika spotkałem tego Zadorskiego. Nie będziez to synek chłopca, którego chcą pomalować na szlacheccica?? Daty mi się godzą, wiek jak ułał... jeszcze trochę poszperam, pochodzę. a gdy pewnośc zyszczę. ludzi wezmę Radziwiłłowskich i panicza w kajdanki. Dopiero niech rodzice i on odpowiadają za—oszustwo, za samozwaństwo. Szlachectwo sobie dawać. toć gorzej niżby się ożenił z córką obywatelską. na cały ród, na całą krew infamia.

Wysocki mówić nie mógł, nie wiedział on za co się mścił Mazanowski, po głowie mu tylko chodziło jedno. że od chłopca był bity. Zdawało mu się. że ta plama na klejnocie, niczem nie mogła być zmyta. tylko krwią. Mazanowski też swojego płazowania pamiętuy. to samo w duchu myślał.

— A długoż to może trwać. nim do kłębka dojdziecie? — zapytał głosem drżącym.

— Nie wiem — rzekł gospodarz — a że mi to na sercu leży (nie przyznał się. że na plecach). klnę się na to!!

— A! i mnie — bąknął Wysocki. — Nuż się pociągnie wasza inkwizycya — dodał -- a tymczasem bestya się ożeni i szlachecką córkę pozbawi szlachectwa! Mnie się na to wzdryga serce, i choć mścić bym się mógł, takiego im nieszczęścia nie życzę.

— Ja na to nie poradzę—odezwał się Mazanowski. Przed czasem infamisa spłoszyć. ucieknie nam. a tu przykład zrobić trzeba, aby się chamy nie zuchwaliły. Już tego jestem pewny, że gdy się nasz Radziwiłł dowie, fraszka kajdany, zasieką go różgami. bo on wie, co to klejnot szlachecki i na co zasłużył kto go kradnie.

Po panu Ksawerym ciarki poszły — przecie rad był, że po siwą kobyłę pojechawszy, takiej wiadomości dostał, i nie żałował już pięćdziesięciu i dwu czerwonych złotych.

Zapiwszy dobrze tę sprawę i kupno, rozstali się podchmieleni, tak że Mazanowski zaraz się położył, a Ksawery aż do Kodnia spał na bryczce. Szczęściem przy sobie chłopca miał, który wiedział, że w takich razach pana przytrzymywać było obowiązkiem.

W Kodniu już znacznie się przetrzeźwiony obudził, a chciał koniecznie jeszcze być, ucałować rączki Klaryssy. Poznała zaraz po nim, że w gościnie gdzieś bywał, i śmiać się poczęła z niego, a ten ją po rękach całował mrucząc.

Cieżką miał głowę, więc wniosła, znająca się na tem panna, iż nie było na pochmiel skuteczniejszej rzeczy, nad tęgiej wódki kieliszek. Stała ona zawsze w szafce.

Zgodził się na nią Ksawery, i istotnie język mu się rozwiązał. A pierwsza rzecz, którą przed nią wypaplał, była historia Zadorskiego, słyszana od Mazanowskiego. Zaklął tylko swoją dobrodziejkę na wszystkie świętości, aby o niej nikomu a nikomu nie powiadała.

Na to się uśmiechnęła figlarnie. Wiadomość uczyniła na niej wrażenie niezmierne, było to bowiem coś tak niepraktykowanego, niesłychanego, prawie nie do wiary, iż żadna moc w świecie utrzymać by w sobie tej plotki nie zmusiła.

Po wyjeździe kawalera poczęła rozmyślać Klaryssa, co z tem poczynić? Była mściwą, ale że ona sobie na chwilę chłopca podobać mogła i ludzie potem mogli jej to wytykać — więc niemilem było dopuścić na nim jawnego przekonania...

Wreszcie, choć wiek ją ostudził, odezwało się to, co w najzepsutszem sercu niewieściem zawsze zostaje na dnie — litość. Żał jej go było.

Miarkowała, że gdy się Wysocki z Mazanowskim

spikną, wyniknie z tego coś strasznego, i to lada dzień, lada godzina.

Tak się tem rozgorączkowała, rozmarzyła, tak jej trudno było utrzymać ten sekret i pójść z nim spać, iż natychmiast posłała dziewczynę z kawiarni po Koniuszego.

Choć godzina była bardzo spóźniona, nie miało to w sobie nic nadzwyczajnego, bo nie raz księżna, bardzo także gorącego temperamentu, gdy się co zamarzyło, o północy ludzi budzić kazała.

Gdy bosa dziewczeczka otworzyła drzwi izdebki. w której spał Koniuszy. i krzyknęła:

— Panna Rejentówna pana prosi. tylko prędko!

Drobisz się zerwał i natychmiast odziewać począł.

W ćwierć godziny stawił się na rozkazy z tak pogodną uśmiechniętą twarzą. jak zawsze.

— No, a co pani od starego chce? — zapytał.

— Panie Stefanie! — zamykaj drzwi i chodź a słuchaj, ale sekret.

Kiwnął głową.

— Słowo. że sekret? — zapytała.

— Najwiętsze...

— Tylko co Wysocki tu był, i oto co przywiózł! okropności. nie do wiary! wiesz! wiesz! wszak ten Jacek Zadorski to syn — chłopca.

Koniuszy się począł śmiać.

— Ale gdzie zaś! Ksawery do niego ząb ma.

— Toć nie on to skomponował! — przerwała panna — doszedł tego Mazanowski. ma dowody.

— Ale ba! Mazanowskiego on wyplazował!

Panna zamilkła, nic o tem nie wiedziała.

— Mów no moja dobrodziejka. jak Mazanowski tego doszedł? — zapytał stary?

Panna Klaryssa powtórzyła. co jej mówił o leśniku Wysocki, a słuchający przypomniawszy sobie dopiero dwie owe podróże tajemnicze pana Jacka. Tknęło go to, ale nie powiedział nic.

— Prawda to czy potwarz — dokończyła Rejentówna — przekonaj się Koniuszy, że mam dobre serce... Boję się o niego! Jeżeli chłopem się okaże. zabiją go. zasieką i zgnije w Białej w kajdanach.

Popatrzyła mu w oczy — Koniuszy z wielkim wzruszeniem w rękę ją pocałował.

— Niech to pannie Rejentównie Pan Bóg zapłaci — rzekł cicho — a nie wątpię, że zapłaci! Jak ono jest. to jest... choć źle zrobił. choć kryminał popełnił — a no. i mnie go żal.

— Cóż ty myślisz? — przerwała drżącym nieco głosem panna. wlepiając w niego oczy.

— Pójść do niego i rozmówić się z nim — otwarcie się przyznając. Jeżeli winien. niech ucieka... na co mają tu na naszym dworze robić taki skandal...

Nic nie odpowiedziała Rejentówna, ale nie broniła.

Koniuszy ją raz jeszcze w rękę pocałował, dodając:

— Bóg ci to nagrodzi!

Wyszedł w myśli. aby wprost pójść zbudzić Jacka — ale po drodze serce mu tak zabolało. iż razy kilka się zawracał. A tu czas do stracenia nie było. bo Rejentówna, gdyby chciała, nie potrafiłaby sekretu utrzymać.

Noc była późna. Jacek spał jak zabity snem młodości kamiennym. tak że do ciemnej izdebki mógł wnijsz Koniuszy i ognia skrzesać i siarnika poszukać i świecę zapalić, a Zadorski nie obudził się. dopiero gdy światło błysnęło.

Zerwał się przestraszony i siadł na łóżku.

— Co to jest? gdzie ja jestem? Pan Koniuszy! Czy już dzień? — począł przecierając oczy...

Stary stał i czekał, aż się zupełnie rozbudzi.

— Mam do waszmości interes — rzekł — dobrze sobie czy przetrzyj.

Chociaż stary mówił jak zwykle. pewna zmiana w głosie. w tonie. coś suchego. zimnego w zawsze dobrym starcu uderzyło Jacka. który wstał żywo...

Koniuszy tak się w niego wpatrywał, jakby mógł wejrzeniem odkryć tę prawdę. po którą tu przyszedł. Szukał w nim jawnych znamion tego chłopstwa, w którego odmienną krew wierzył wraz z innymi.

Bóg wie co mu się snuło po głowie. Nie wiedział jak począć i biedził się.

— Co pan każe?—pytał niespokojnie Jacek.

— Mów mi prawdę — odparł stary uroczyście. — Masz nie przyjaciół. doszli oni. tak mówią. że nie jesteś szlachcicem, żeś syn chłopca. Ojciec twój leśnikiem w dobrach Radziwiłłowskich.

Jacek słuchając pobladł naprzód. drgnął i — oczy sobie zakrył. Tego ruchu starczyło na odpowiedź. Szlachcic byłby się oburzył i krzyknął. Jacek stał milczący.

Był tak zabity tem słowem. że patrząc nań. Koniuszemu łzy się zakręciły w oczach.

— Kiedy już ludzie o tem gadają — dodał — nie masz tu co robić. Jutro może cię czekać niewola. kajdany i gorsza zemsta nad wyraz wszelki. Dopóki wolny jesteś. jedź. mówię ci. uciekaj. a pamiętaj — dodał z powagą — kłamstwem się na świecie nie idzie daleko.

— Panie Koniuszy — wykrzyknął Jacek — nie chcę mojej winy zrzucać na innych. co ją przez miłość dla mnie popełnili, ale przysięgam ci. jam nie winien! Co-fnąć się nie mogłem już!

Wszystko teraz rzucić; nie ma rady innej, jeszcze tej nocy uciekaj! Życie ocal — dodał stary.

— Czekał pan — podchwycił Jacek — naprzód odbierz swoje pieniądze: nie wszystkie są. ale ja nic z sobą nie biorę. pojedę jak stoje.

Stary nie nie odpowiadając na to. i nie odrzucając zwrotu pieniędzy — rzekł tylko:

— Weź kilkanaście talarów na drogę.

Ze spuszczoną głową. jakby sam był winowajcą. smutny, nie czyniąc wyrzutów. nie mówiąc nic więcej. nie chcąc słuchać tłumaczeń, Drobisz zawrócił się do drzwi.

— Jadąc klucz oddaj mojemu chłopcu — mruknął w progu i zniknął.

Jacek stał długo skamieniały. powoli oswoił się był z myślą swojego szczęścia, wierzył już w to, że mu się życie otwiera szerokimi wroty, że będzie mógł spokojnie pracować, używać, dorabiać się, a może rodziców z ich położenia podźwignąć. Nagle runęło mu to wszystko pod nogi jak domek z kart za jednym wiatru podmuchem; widział się odartym ze wszystkiego, skazanym na wygnanie...

Cios taki gwałtowny zawsze prawie człowieka przybija i czyni w początku niemal odrętwiałym, dopiero później boleść się czuć daje. Jacek stał osłupiały. Ruszył się potem powolnie, obojętnie odziewać i patrząc nań nie byłby się nikt domyślił co cierpiał. Można go było wziąć za obojętnego.

Nie miał nawet przytomności by pomyśleć co weźmie na drogę, co zostawi. Machinalnie naciągnął na siebie pierwszą odzież jaką znalazł pod ręką, pozamykał wszystko, narzucił na siebie opończę i szedł na dół.

Noc była zimowa, z przymrozkiem, dosyć jasna i cicha. Zbudził chłopca Koniuszego aby mu oddać klucz, poszedł do stajni, konia sobie osiodłał sam i wyjechał. Dokąd? Jeszcze sam o tem nie pomyślał. Szło o to, aby nazajutrz już tu nie być, ani w okolicy.

Koń nawykły codziennie prawie do Wólki chodzić, sam się w tę stronę pokierował. Jacek uważając to jakby za skazówkę, puścił go nie sprzeciwiając się ku Wólce. W miasteczku wszystko spało, w polu cicho było i pusto; do dnia daleko. Gdzie noc miał spędzić, nie wiedział. Tym czasem bułany wolnym klusem szedł znajomą drożyną.

Jadąc tak przyszła mu na myśl panna Barbara. Mógł że tak odjechać, w świat się puścić słowa jej nie powiedziawszy nie pożegnawszy się z nią nawet?

A widząc się miał-że przed nią kłamać, czy powiedzieć jej całą prawdę? czy zamilczeć!

Jak się to bardzo często zdarza, daleko wytra-

wniejszym ludziom niż pan Jacek, nie postanowiwszy nic, spuścił się na to czem natchnie chwila...

W głuchą noc stanął Jacek przed małą karczemką w Wólce i u wrót się zatrzymał. Znano go tutaj jako przyszłego zięcia pana Łowczego. Zastukał do okna aby mu otworzono i wytłumaczywszy gospodarzowi, że wraca z drogi dalszej w której się obłąkał, zażądał noclegu dopóki by we dworze nie powstawali.

Znał obyczaje tutejsze. Sama Łowczyną i Łowczanka byli rannemi ptaszkami, czeladź wstawiała też do dnia, ale gdzieby się mógł widzieć z panną Barbarą tak, aby na siebie oczów nie zwracać, trudno było wymyśleć. Zimowa pora utrudniała spotkanie. Trzeba się więc było spuścić trochę i w tem na los a podkrasć do dworu, jak tylko się tam zaswieci i poruszy.

Położył się tym czasem na ławie i zasnął; ale sen miał przerywany i niespokojny. W parę godzin na gościńcu się już ruszać zaczęli ludzie, do karczemki zaglądać, a nade dniem wbiegła dziewczynka ze dworu z pytaniem do arendarza czy nie pojedzie do Kodnia. Zdziwiła się mocno zobaczywszy tu przenocowującego panicza, a on po cichu poprosił jej ażeby pannie o nim oznajmiła, bo się na chwilkę z nią widzieć musiał.

Szedł też w ślad za nią i stanął za węglem domu.

Gdy pannie Barbarze szepnęła dziewczyna o Zadorskim, Łowczanka przecuciem jakimś ulękła się, ale nie mówiąc matce, narzuciła chustkę i wyszła.

— Łowczanko dobrodziejko — głosem drżącym począł, w rękę ją całując Jacek, mam coś jej do powiedzenia. Stało się nieszczęście ze mną.

— Zabiłeś kogo? — spytała Basia.

— Nie, mnie zabić chcą — odparł Zadorski.

Tak mówiąc Łowczanka wskazała mu aby szedł za nią i wprowadziła go do swojego pokoju.

— Mów — rzekła śmiało — w bawelnę mi nie nie obwijaj, dzieckiem nie jestem.

Jacek milczał.

— Zadają mi żem nie szlachcie — rzekł Jacek otwarcie — ja się nie mam czem wywieść. zdajdą łatwo pozory, zgubią mnie.

Panna Barbara brwi ściągnęła.

— Nie szlachcie! — zawołała — możeż to być?

— Sierota jestem. nie wiem — rzekł Jacek — co, a gdyby tak było?

Łowczanka westchnęła głęboko. i zaczęła się przechadzać po pokoiku. Zadorski widział jak zaciśnięwszy usta. cicho płakać zaczęła. Stał jak winowajca.

— Nie szlachcie! — powtórzyła — więc chłop! podda-ny czyjs!

Wzdrygnęła się i tupiąc nogą — krzyknęła gniewnie:

— To nie może być!

Zbliżyła się do Jacka.

— Mów, to być nie może.

— Ja nie wiem — odparł chłopak — ja tu kłamać przed wami nie mogę. Byłem przez was szczęśliwy. dalsicie mi zakosztować choć nadziei. nie godzi się abym wam się wypłacał zdradą! Muszę uchronić wszystko przepadło.

Panna rozplakała się głośno.

— O Boże wszechmogący. co tu począć! Jam się przywiązała! Wstyd! Srom. żal. choć umierać.

Upadła na krzesło. a Jacek na kolana padł przed nią.

— Przebaczcie mi. nie przeklinajcie mnie. panno Barbaro. a niech wam Bóg da szczęście...

I całował ją po nogach.

W tem Łowczanka się zerwała z siedzenia.

— Słuchaj — rzekła stanowczo — jedź szukaj sobie szlachectwa gdzie chcesz. jak chcesz... Ja będę czekała. będę czekała choćby dwadzieścia lat! Ty sobie musisz znaleźć krewnych i klejnot. To nie może być, aby nas tak Pan Bóg opuścił?

Wstąpiła nadzieja jakaś w serce Zadorskiemu, który się z ziemi porwał.

— Prawdaż to?

— Na Boga się klęę, nie pójdę za nikogo, będę czekała!—powtórzyła Basia — jedź, szukaj, staraj się. Bóg łaskaw... nad moimi łzami litość mieć będzie...

— Jak zdesperuję — rzekł Jacek — to Łowczance dam znać, że mnie na świecie nie ma. bo żyć wówczas nie będę.

— Ani mi się waź — przerwała panna — musimy na swoim postawić.

Energia z jaką to mówiła, choć nie wiedząc sama na czem się opierała w tych nadziejach, coraz więcej Jacka ośmielała.

Całował ją po rękach, za kolana ścisnął, nie wiedział jak dziękować.

— Zaręczeni jesteśmy z sobą, to tak jak ślub — dodała Łowczanka. Ksiądz mi sam mówił, że tylko błogosławieństwa kościelnego brak. a słowo dane to tak jak przysięga. Między żoną a mężem wszystko wspólne — dodała — mów mi prawdę? masz co na drogę?

Zaczerwienił się okrutnie Jacek i skłamał.

— Mam — rzekł — starczy mi com wziął...

— To dobrze — dorzuciła Łowczanka — ale kto wie jak się to długo pociągnie i co jeszcze trafić się może. Ja mam moich własnych dwadzieścia dukatów zapieczetowanych, które mi matka dała na wiązanie. Nie będzie potrzeba odwieziesz mi, a zapotrzebujesz, weź.

Pobiegła do kufra. Jacek się opierał, zmusiła go do wzięcia. Potem zaszlochała głośno i, pierwszy raz w życiu rzuciła mu się na szyję.

— A to żebyś pamiętał — zawołała — że mnie już rzucić nie możesz.. Teraz, Bóg z tobą, jedź! jedź!

Takie było rozstanie, a gdy rodzice wstali, wyplakawszy się, oczy obmywszy, pomodliwszy się Łowczanka chodziła już około gospodarstwa, tak że trudno było poznać co przecierpiała...

Z rana klucz od stancyi Zadorskiego odniósł chłopiec Koniuszemu, który poszedł sam, zrewidować

wszystko. pieniądze swoje zabrał, bo ich mało co brakło, rzeczy obliczył, i mruknąwszy: Szlachcic czy chłop, ale pocziwy człek — poszedł pomyślawszy do sekretarza.

Znali wszyscy Drobisza, że nigdy nie kłamał, tym razem jednak uderzywszy się w piersi, postanowił przez miłosierdzie nad Zadorskim, baka puścić.

Zbliżył się do Długoszewskiego i rzekł mu na ucho:

— Zadorskiego z wyższego rozkazu w nocy wyprawiłem z pilnym interesem do Białocerkwi.

— Jakto? mojego dependenta. bez mojej wiadomości? —

— Była dyspozycya pana Strażnika...

Sekretarz głową pokiwał, nie miał już co odpowiedzieć.

Koniuszy szepnął — niech-że pan tak mówi, gdyby spytano. — I odszedł.

Pierwsza rzecz o którą z rana zapytała panna Rejentówna, co się tam dzieje z Zadorskim?

Zieloniska jej odpowiedziała, że za pilnym interesem skarbowym wyprawiono go w nocy do Białocerkwi.

Na tem się skończyło dnia tego, a służba pogawędziwszy o tym nagłym wyjeździe, myśleć o nim przestała. Upłynął tydzień, przeszedł drugi, cicho było.

Księżna Wojewodzicowa ruszyła do Warszawy. a Długoszewski za nią. Jednego ranka gdy jeszcze wrota były zamknięte we dworze. z tumultem znacznym i pokrzykami. ujrzano dwie bryczki i trzy proste wozy chłopskie pełne ludzi zajeżdżające na rezydencyą.

Koniuszy, który tu już teraz po rządzczy (a ten mieszkał opodal na zamku) — był najstarszym, wyszedł brwi namarszczywszy. gdy z jednej bryczki dobywał się Mazanowski, a z drugiej pan Ksawery Wysocki.

Radziwiłłowski oficyalista butno bardzo. ledwie głową kiwnąwszy przystąpił do Drobisza:

— Czołem!

— Klaniam uniżenie.

— Ja tu od księcia Jegomości z misją jadę — odezwał się Mazanowski. Książę kłania i domaga się aby mu jego własność była wydana. Doszło do jego wiadomości, iż tu się we dworze ukrywa niejaki Zadorski, samozwaniec chłop. poddany książęcy, syn leśnika. Uduje on szlachcica, ale my mamy na to dowody. co za ptaszek jest.

— Zadorski? Jacek? — spokojnie odparł Koniuszy. Hm?

— Tak, tak! Jacek! — powtórzył Mazanowski.

— U nas go tu nie ma — dołożył Koniuszy.

Bystro popatrzył mu Mazanowski w oczy.

— Co. nie ma? jakto nie ma! ale!

— A, nie ma — rzekł Drobisz.

— Ależ był?

— A, był — mówił spokojnie ciągle. ręce kładąc w kieszenie Koniuszy i nie okazując by najmniejszego wzruszenia.

Mazanowskiemu krew nabiegała do twarzy, był przygotowany do kłótni. do awantury, ale do tego co go spotkało. wcale nie.

— Gdzież się podział? — krzyknął.

— Z pełną tego nie wiem — rzekł stary — bo nie mam obowiązku śledzić gdzie się kto obraca. Przed parą tygodniami wyprawiono go na Ukrainę do Białocerkwi. a co się potem stało, to do mnie nie należy.

Wysocki z Mazanowskim popatrzyli na siebie.

— Wszystko teraz djabli wzięli! — krzyknął leśniczy — roztrąbi się rzecz cała, a ptaszek nam furknie.

Wysocki pięścią się uderzył po biodrach.

— Trzykroć sto tysięcy...

Stali tak rozmyślając, nie wiedząc już jak swój najazd gwałtowny tłumaczyć, a Koniuszy począł poważnie:

— Muszę asindziejowi powiedzieć to. że się na niego do księcia JM. skarżyć będę, bo się na dwór woje-

wodzicowej nie uapada z takim hałasem i z wozami pełnemi chłopów... Suponuję, że to prawda, iż się tu jakiś samozwaniec ukrywał. można było o niego inaczej reklamować.

— A cóż się stało! he!—krzyknął Mazanowski.

— Stało się niepotrzebne larum—odparł Koniuszy, które jest dla nas obelżywem. Należało poszanować rezydeucyą.

— Która zbiegłych chłopów przechowuje!—zasmiał się Mazanowski. My naszego dobra wszędzie poszukiwać mamy prawo.

— Tylko ichmość powinniście naprzód dowieść, że ono wasze. a tu dowodów nie ma—odparł koniuszy.

— Okażą się dowody!—zawołał Mazanowski.

Wysocki go począł w bok trącać.

— Daj bo ty pokój! dosyć już tego.

— Ja tylko to dodać muszę—zawołał niedający się pohamować Mazanowski, że okaże się li. iż państwo przez jakąś powolność protegujecie a ukrywacie zbiega. naówczas książę się o szkody swe upomni, nie podaruje...

Koniuszy się rozśmiał. a że w dziedzinie czeladź stała. okazując Mazanowskiemu despekt jawny — odwrócił się od niego do czeladzi i rzekł:

— Hryćko! konia mi okulbacz — a drugi niechaj jedzie z tym listem com mu dał Wanka, do rznięcia sieczki! Czego stoisz?

Mazanowski stał nie mając mówić do kogo. Nie było też tu co robić. konfuzji doznał tem większej. że co było ludzi we dworze. słuchało i patrzyło na nią.

Zły bardzo zachnął się leśniczy Radziwiłłowski; chciał się już zegnać, nie było z kim. Plunął i poszedł do bryczki.

Wysocki mrugnawszy nan. aby do miasta, do gospody jechał, sam został. Dopiero gdy Mazanowskiego odchodzącego posłyszał. zwrócił się twarzą ku niemu Drobisz.

Popatrzyli sobie w oczy.

P. Ksawery byłby zaszedł do swej bohdanki panny Rejentówniej. ale ta razem z księżną odjechała do Warszawy, co nawet ślub jego do Wielkiej Nocy odłożyć zmusiło. Drobisz mu się uśmiechnął.

— Niechże Radziwiłłowski ów egzekutor — rzekł — ale W Mość panie Skarbnikowiczu co tu porabiasz? Czy to się godziło do najazdu mn posiłkować?

— Ja? mnie? — zaśmiał się Wysocki — ale ja tylko z ciekawości przybyłem...

Stary ramionami ruszył.

— Nie było się na co wytrzeszczać — rzekł.

Potem dodał zaraz:

— Cóż waćpan w żałobie po Rejentównie?

Wysocki pokręcił węża.

— Co mam być w żałobie. przecież panna powróci?

— Skarbnikowicz pewnym tego jesteś — zapytał stary — bo ja. nie. Kobiety są istoty bardzo chytre i przewrotne, nie mówię tego o Rejentównie. ale tak. jeneralnie o całej płci białej. W Warszawie miała i ma panna Klarysa pretendentów wielu, nuż tam kto asindzieja ubieży.

— Ale! zaś! — zawołał Wysocki — co za przypuszczenie??

Koniuszy się śmiać począł; ale klina tem za-
bił okrutnego Wysockiemu, który bardzo markotny
go pożegnał.

Co myślał. nie wiemy. ale nim znowu do równo-
wagi z humorem przyszli. on i Mazanowski. musieli
garniec wina kwaskowatego wypić u żyda.

Gdy się rozjeżdżali, Mazanowski się srodze od-
grażał, a Wysocki zadumywał. Ciągłe mu na myśl
przychodziło, co powiedział Koniuszy.

— A nuż w Warszawie Rejentówna sobie kogo
znajdzie?

Gdy proroctwo to na wiatr wygłosił stary Dro-
bisz. nie było mu w głowie aby się ono sprawdzić
miało; ale powiedział to w złą godzinę. W istocie
zaraz po przybyciu do Warszawy, zgłosił się dawny
amant panny Klarysy. właściciel teraz kamienicy,

Zadora.

którą w sukcesyi po bracie otrzymał; człowiek zamożniejszy od Wysockiego, a, co więcej, mieszkający w stolicy i chodzący po francuzku. Po krótkim namyśle Rejentówna mu oświadczyła:

— Ma co być, to natychmiast, bo mnie już to przebieranie znudziło.

Do Kodnia doszła wiadomość o zamążpójściu Rejentówny tak jakoś insperate, że jej nikt wierzyć z razu nie chciał; a gdy Wysocki się dowiedział, z razu gotów był jechać męża niewiernej zastrzelić. Rychno się jednak umitygował. zakończył szlacheckim wykrzyknikiem:

— Niech ją tam diabli wezmą! Po kilku dniach wielkiego smutku, zalewanego winem i gorzalką, wpadł Ksawery na myśl szczęśliwą, ponieważ Jacek zniknął. powrócenia do Łowczanki.

Wybrał się zaraz do Wólki.

Udało mu się naprzód przysiąść do samej pani. której zwierzył się z imprezy swojej.

— WPan wiesz. panie Skarbnikowiczu — rzekła — że my córce zadawać gwałtu nie chcemy. Pomów-że no naprzód z nią, czy ona zechce, a zgodzi się... ja nie mam nic przeciw niemu.

Wyszła i panna Barbara, a trzeba wiedzieć, o czem w całej okolicy mówiono, że od zniknięcia Zadorskiego ciągle chodziła czarno. Wyśmiewano ją nawet z tego. Gdy ją zobaczył bladą, z twarzą nasepioną, ledwie miał odwagę przystąpić. Nająkawszy się trochę, w ostatku powiedział co go sprowadzało.

— Bardzom panu wdzięczna za jego afekt wytrwały—odpowiadała panna — ale ja słowa mojego nie odmieniam. Za kogom wczoraj nie chciała, nie pójdę nigdy.

Oniemiał Wysocki.

— Przecie ten Zadorski nie wróci?—rzekł gniewnie uniosłszy się.

— A któż to wiedzieć może?—odparła Basia.

— Jakby powrócił to go ksiązę jako swojego poddanego będzie reklamował?—rzekł Wysocki.

Był mógł, nie wątpię, bo Mazanowski się na

nim mści za to. że go wypłazował — odpowiedziała panna śmiało — nie wiadomo tylko czy książę dowiedzie, a jego leśniczy osmieli się na gwałt.

To rzekłszy odwróciła się i poszła do swojego pokoju, a Wysocki burknął coś i odjechał.

Wiecej już w Wólce nie postał.

Ośm lat, to kawałek czasu, rzadkie serce ludzkie z uczuć nie wywietrzeje, gdy je tak długo nosić w sobie musi, nie widząc osób. co je wzbudziły. Dziwili się też wszyscy pannie Barbarze, że uparcie za mąż iść nie chciała. choć tak zwanych Jezusowych latek się doczekała. Ojciec burczał na nią i gniewał się tem mocniej, że sam starzał. Syna hulakę był stracił, pomocy w zięciu potrzebował, a córki skłonić do małżeństwa nie było sposobu. Po śmierci syna, gdy już nie jaki taki posag miała panna Barbara, ale jedyną została u ojca, a Łowczy majątek w oczach robił, choć nie była bardzo młodą, cisnęli się konkurenci tacy, co i po parę wsi mieli i kolligacje piękne. Wszystkich ona z kwitkiem odprawiała.

Łowczy się czasem unosił.

— Na co ty czekasz! — wołał — co się tobie śni? ten niecnota jakiś nie powróci! Jasna rzecz, że człowiek był lada jakiej procedencji, może i chłop — trzeba się jej było tak w niego wlepić!

Łowczanka nigdy na to nie odpowiadała ani słowa.

Posadzano ją w domu, że musiała miewać jakieś listy od narzeczonego, i że sama do niego pisywała, ale jak i które dy to chodziło, nawet matka nie mogła dośledzić.

Tymczasem właśnie w ciągu tych długich lat ośmnaście lat, zaszły w kraju wielkie zmiany. Nie przebrzmiały bez odgłosu słowa Staszica, który upominał się o polepszenie stanu włościan, o zniesienie niewoli i poddaństwa. W ślad za nim podniosły się głosy inne, a co herezją straszną i ujmą praw szlacheckich wydawało się, gdy Zamojski swój podeptany zbiór praw Sejmowi składał — w lat kilka krążyło już jako nieunikniona konieczność.

Nadszedł Sejm czteroletni, który wszystkie idee kielkujące tu i owdzie do życia zapragnął, choć nie wszystkie mógł doprowadzić.

Gorzały umysł do reform zbawiennych, mogących społeczeństwo, skarłałe wśród starych instytucji strunpieszałych, odrodzić. Jak za długo na te reformy czekano, tak po tem za gwałtownie chciano je urzeczywistnić na raz wszystkie, co bez gwałtownego wstrząśnienia stać się nie mogło — a biada starym gniachom, gdy się pod nimi ziemia zatrzęsie.

Piękna to była chwila, a ci co pamiętali stan umysłów przed kilkunastą laty, wydziwić się nie mogli postępowi, jaki uczyniono.

Było to już w pośrodku tego Sejmu czteroletniego.

W kamienicy na Krakowskiem od tyłu, w wielkiej izbie dosyć skromnie przybranej, o wieczornej godzinie, gdy szary mrok padać zaczynał, a światła jeszcze nie przyniesiono, siedziało dwóch mężczyzn, jakby odpoczywając po pracy. W środku pokoju stół sukniem zielonem, poplamionem i startem, okryty, cały był zarzucony papierami i książkami. Na ziemi wałały się bibulaste kawałki druków poszarpanych, z pomiędzy książek i broszur, dwa czy trzy ogromne piórami nasrożone, wyglądały kałamarze.

Wszystko tu oznaczało, że nie próżnowano, że z gorączkowym pośpiechem jakaś pilna u tego stołu dokonywać się musiała robota. Papiery stosami były nie ponkładane, ale ponarzucane, w książkach sterczały zakładki, na białych arkuszach papieru widać

było pozaczynane bruljony. pokreslone jakieś notaty. Kilka listów rozdartych bardziej niż rozpieczętowanych, czekały na wierzchu stołów cisnięte, odpowiedzi...

Wielka sofa w głębi, której barwę trudno było rozpoznać. wysiedziana. wyleżana. z podartem okryciem. musiała służyć nieraz i za posłanie nocnym robotnikom tego stołu. Krzesła proste, poplamione atramentem, bez ładn stały porozsuwane. Jedna szafeczka przy ścianie stała otworem, a zawierała książki, ponachylane. napakowane. w jednych miejscach ściśnięte, w drugich z rzadka rozstawione i bez ładu.

Przy niej stoliczek mieścił na sobie próżną karafkę od wody. kilka ciemnych butelek. zapewne od piwa i parę szklanek ze szkła prostego.

Dwaj znajdujący się tu mężczyźni. spoczywali, jeden szeroko się rozsiadłszy na sofie. z rękami rozłożonemi, a głową na piersi spuszczoną. drugi przed nim na stołku, z głową na dłoni podpartą. Na sofie siedzący miał na sobie suknię duchownego, czarną, wytartą. chociaż twarz jego i postawa więcej żołniersko niż księży wyglądała. Można było ze śniadej. nie pięknej. ale pełnej wyrazu i życia twarzy jego wyczytać. że przeszedł w życiu przez wiele różnych stopni, nim oblókł się w ciemną żalobną, zamykającą wszystko sukienkę.

Ruchy miał żołnierskie, wyraz oczów śmiały i ironiczny, usta zacisnięte i szyderskie... Pomimo swej sutanny włożonej jakoś niedbale i zdającej się zawadzać jego ruchom. widać było w tym człowieku żołnierza. jeśli już nie kawalerji narodowej, to jakiegoś zastępu. co się dobijał piórem i słowem trudnych zdobyczy.

Naprzeciw siedzący mężczyzna, znacznie młodszy, twarz miał nie piękną, smutną, czoło zorane zawczasu zmarszczkami, oblicze niczem się na pozór nie odznaczające, a sympatyczne.

Na obu tak wydychających po trudzie dnia, czuć było znużenie i jakby zniechęcenie. Nie mówili na-

wet do siebie... Czekali jakby na światło tylko. aby się wziąć do roboty znowu, którą mrok przerwał.

Siedzący na krześle westchnął. Ksiądz podniósł głowę, popatrzył nań długo i rzekł głosem jakby nawykłym do sarkazmu.

— Cóż ty Jacku wzdychasz a wzdychasz? Czas by było rozum mieć! A no, prawda, że u nas, jeśli o co, to o niego trudno. Dowcip się znajdzie, odwaga zwłaszcza na krótko, cnota kiedy na gorąco ją trzeba dać—a zdrowego rozumu w życiu!! ze świecą szukać.

Chciał zaprzeczyć p. Jacek.

— Daj pokój nie oponuj! — rzekł duchowny—przeciw oczywistości nic nie pomoże. Gorączki nam z dawnych wieków zostało tyle, że rozum na pnie spaliła...

Rozśmiał się.

— Wiem czego ty wzdychasz — mówił dalej — do pantofla! do kobiety! Tak to wygodnie pod nim siedzieć. Spójrzysz że, pod nim wszyscy. Król że nie ma jednego oficjalnego, siedzi pod kilką, Jenerałowej, pani Krakowskiej, swoich siostrzenic, sióstr i przyjaciółek... W Senacie pod pantoflami wszyscy. Dla tego u nas bez kobiet się nic nie robi—i wszystko się robi po kobiecemu!

Uderzył ręką po poręczu sofy.

— Tak, moje dziecko! tak! i ty tęsknisz za szczęściem pantoflowem.

— Cóż mam robić! przyznam się ks. kanonikowi, że jeśli nie za pantoflem, to za kobietą z którą dawno zaręczony jestem, śmiertelnie tęsknię.

— Dawno? jak dawno? — zapytał kanonik.

— Ośm lat temu!

— Jezu miłosierny — rozśmiał się duchowny — i przez lat ośm zostałeś ty jej, ona tobie wierną! A toć do metryk koronnych zapisać!

Jacek milczał.

— Ks. kanoniku — odezwał się dawszy posmiać z siebie. Obiecaliście mi dawno być u ks. podkanclerzego pośrednikiem... Śmieliście się ze mnie, że mi się tak szlachectwa chce... Ja go dla siebie tak bar-

dzobym nie pragnął, ale ośm lat czeka moja narzeczona, a ja się z nią ożenić nie mogę, póki nobilitacyi nie otrzymam...

— Teraz cię rozumiem — odparł kanonik, i — żał mi cię. Ks. podkanclerzy wielce WMości szacuje i jest mu przychylny nie wątpię, że się do prośby przychyli, ale z nobilitacyami, których już tyle Sejm nadał, coraz ciężej, szlachta zazdrośna burczy...

Nic nie mówiąc pochylił się ku kolanom siedzącego Jacek.

— Z duszy, serca bym ci rad to uczynił — odezwał się ksiądz. Za długoletnią w kancelaryach pracę, uczciwość i zdolności należy ci się nagroda. król podpisze chętnie, ale w Sejmie...

— A ks. podkanclerzy?

Właśnie to imię wymawiał Jacek, gdy drzwi z łoskotem się otworzyły od drugiego już oświeconego pokoju i z papierem w ręku, wszedł drugi duchowny...

Jakby nadany przez niego znak innemi drzwiami, wniósł niepozornie ubrany sługa dwie świece w lichtarzach. Kanonik się podniósł, wstał p. Jacek.

Był to ks. Hugo Kołłątaj: twarz nie miła ale rozumna, czoło piękne, oczy wypukłe czarne, wyraz pewien siebie i energii pełny. Jedwabna suknia na nim cała była zmięta i niedbale włożona, na szyi miał na w pół zasłonięty i krzywo zawieszony order św. Stanisława. Wszedłszy szybkim wzrokiem obiegł pokój do koła i zbliżył się do kanonika.

— Ks. Jezierski! na miłość Boga, oto notatka! Zrób z tego coś na co ja czasu, ani do tego talentu nie mam, coś coby było krótkie, gorące, twoim zaprawione do-wcipem, coby na ulicach rozrywano, gdy Gröll wydrukuje.

— Te świstki, te świstki — dodał — które wiatr za kilka dni rozniesie, że po nich nie zostanie śladu, na razie działają jak najsilniejsze lekarstwa. Książki dużej nie ma nikt czasu czytać, wielu poważnej nie zrozumie, a Postyljona z trąbką, a Cygana z kropi-

dłem rwą ludzie, pochłaniają i prędzej im dowcipem trafisz do przekonania niż argumentami.

Mówił żywo. uderzając po papierze, a oczów nie mogąc na jednym miejscu utrzymać. Jezierski brał już arkusz z rak jego.

— Ty pisz, a Jacek niech stante pede kopiuje na czysto... — dodał — a żywo! Czas płaci. czas traci. Carpe diem! Co dziś może zbawić, jutro się na nic nie zdało!

Ks. Jezierski patrząc na notaty uśmiechał się szydersko...

— Smutna to rzecz pracować nad świstkami, po których pamięci nie będzie—rzekł—ale gdy potrzeba. sakryfikować się musimy...

— Potomność kiedyś do waszego rachunku to wpisze! — rzekł podkanclerzy.

— Nie dla każdego potomność!—odparł ks. Jezierski — Bóg z nią, byle obowiązku człek dopełnił.

— Jeziersiu! — gorąco! — dodał ściskając go podkanclerzy... Dodaj pieprzu i soli!

Uśmiechnął się spoglądając na milczącego Jacka.

— A! — przerwał już do stołu się zbliżający kanonik na miłość Boga. niech wasza Excellencya. zlituje się nademną i Jacka tego wynobilituje. bo mi wzdycha wprost w ucho i czyni dystrakcyą. Doszedłem przecie na co mu szlachectwo potrzebne—mówił dalej patrząc z ukosa na czerwieniącego się Jacka — oto lat temu ośm, niech W. Excelencya słucho i admiruje, lat temu ośm jak jest zaręczony ze szlachcianką i oboje czekają na to aby się pobrać.

Ks. podkanclerzy ruszył ramionami w ten sposób iż prędzej było można przypuścić, że się litował niż dziwił stałości uczuć.

— Obiecałem—rzekł sucho — a co obiecuję, staram się dotrzymać. Uszlachcamy dużo, ale szlachta się kwasi.

— Jednym mniej, jednym więcej — wtrącił ks. Jezierski.

— Tak, tak. a moją nagrodą za to będzie — dodał ks. podkanclerzy — że najzdolniejszego, najpilniejszego, najuczciwszego stracę kancelistę.

— Będę W. Excelencyi służył dopóki tylko będę potrzebnym. — odezwał się Jacek..

— Dobrze, dobrze, przygotuj-że papiery wszystkie — łagodniej rzekł ale z pośpiechem podkanclerzy, jakby się co rychłej chciał zbyć tej sprawy — wyszlachcimy cię.

— Papiery gotowe — odezwał się Jacek z wielkim trudem — ale i uwolnienie starego ojca wyrobiłem i zgodę rodziny mojej matki, szlachcianki, która mnie do herbu macierzystego przyjmuje.

— Bądź-że spokojny! wybiorę tylko chwilę, gdy po ślomie będzie pilno na bal, na asamble, na reduty lub na hecę, aby prawo przeszło bez opozycji.

Skłonił się Jacek.

— Bodajemy tak inne uasze projekta przeprowadzić mogli — westchnął Kollataj. A jest ich tyle! Nowy prawie gmach budujemy i to nad głowami w nim znajdujących się ludzi.

— To też się skarżę — wtrącił ks. Jezierski — że im cegły na głowę spadają.

Rozśmiał się podkanclerzy.

— E! gdyby nie jeden pusty czerep rozbiły — zakończył — nie wielka by szkoda była.

To mówiąc wyszedł. w tejże chwili niestrudzony. Jezierski już do stołu zasiadłszy i notatkę w rękę ująwszy, zabierał się do zredagowania pisemka, które jutrzejszego wieczora już po mieście krążyć miało i odbić się może echem w obradach sejmowych.

Jacek tymczasem sposobił papier, pióra i miejsce, aby natychmiast wychodzące z pod ręki Jezierskiego arkusze na czysto przepisywać..

Zdziwi się może czytelnik, iż w tej nowej postaci znajduje kancelistę księżnej wojewodzicowej. Nie miał on w pierwszej chwili co czynić tylko uciekać musiał jak najdalej od rodzinnego kąta. Zabiegłszy ukradkiem do ojcowskiej chaty, aby ostrzedz rodzi-

ców, ledwie godzinę w nocy z niemi przebywszy, puścił się Jacek do stolicy. gdzie się zawsze najłatwiej skryć i zatrudnienie znaleźć można było. Tu jednak błdził z razu póki mu się udało spotkać z jednym ze swych dawnych białskich nauczycieli. Ksiądz starszek. który bardzo ucznia swojego lubił. wyrobił mu naprzód bardzo lichą posadę skryptora w pańskiej kancelaryi...

Przechodząc z jednej do drugiej. powoli Jacek miał ciągle na widoku dostać się do kogoś mającego wpływ znaczny. aby z jego pomocą nobilitacyę pozyskać. Szczęściem Mazanowski zmarł. na polowaniu z ks. panem kochanku zaziębiwszy się po niepomier-nem rozgrzaniu trunkiem. Groszem skrzętnie ucinanym. za wpływem i protekcyą różnych osób, uzyskał Jacek libertacyą rodziców i przeniósł ich oboje do Białej.

W ciągu tych długich lat pracy cichej, skromnej i niewdzięcznej, ocierając się i o sprawy różne i o ludzi naówczas najoświecenijszych a najczynniejszych. Zadorski się wykształcił wielce. Gdy ks. Kollataj urósł z czasem. a on się dostał do niego, przy jego boku wytrwał. przewidując może. iż wpływ jego w danej godzinie będzie wielki. Ta godzina właśnie z sejmem czteroletnim nadeszła. w czasie jego stał Kollataj na najwyższym zenicie swej działalności. na swem miejscu. gdy później już powtórna rola w 1794 r., mnóstwem omyłek popełnionych, upadek znamiono-wała.

W przeciągu lat tych. wierny pannie Łowczance, pisywał do niej Zadorski. a nie mógł się domyslać tego nikt. że stary Koninszy mu za pośrednika służył.

Szczęśliwie mu się też kilka razy powiodło. potajemnie odwiedzając rodziców, dojechać tak do Wólki i widzieć się z panną Barbarą. iż nikt w domu ani się tego mógł domyslać.

Obierał sobie naówczas Jacek kwaterę w małej. lichej karczemce leśnej. z kąd wieczorami i rankami się wykradał. aby z Basią spotkać u krzyża za groblą, za

sadem albo w oddalonym kątku ogrodu. Wiedziała Łowczanka o wszystkich jego obrotach, staraniach, nadziejach, dawała rady i cierpliwie znosiła to oczekiwanie, bo pośpiech był niemożliwym.

Zaraz po wyjściu z kancelaryi od Kollątaja, co dopiero nad ranem, skończywszy przepisywanie, mógł Jacek zrobić, pobiegł do swej izdebki, i nie kładnąc się na spoczynek, list do Łowczanki przygotował, przez jutrzejszą pocztę.

Padł potem znużony z nadzieją dui lepszych...

Przeszło jednak dosyć czasu, nim Ks. Podkanclerzy mógł słowa dotrzymać, i w rejestrze mieszczan nobilitowanych dopisać swego protegowanego. Na biedę do jednego z tych co na liście do szlachectwa stali, miał ktoś ząb w izbie i czychał na wniosek. Odezwało się przeciw szlachceniowi w ogóle i o mało cała gromadka nie odeszła z niczem. Tylko przytomności kilku posłów, którym ks. podkanclerzy sprawę tę polecił, udało się przepchnąć tę niemal ostatnią hurtową nobilitację.

Jacek był na galeryi w izbie gdy się sprawa jego ważyła, między życiem a śmiercią niemal, gdy głosy się burzliwe i szyderskie podniosły. Wybiegł zrozpaczony nie doczekawszy się końca i bładził po mieście ręce łamiąc, gdy przez okno go zobaczył ks. Jezierski, który już w tej chwili o przejściu szlachectwa się dowiedział.

Na skinienie jego wpadł Zadorski do izby, a posłyszawszy szczęśliwą nowinę, zachwiał się na nogach i upadł jak długi. Zemdlął z radości wielkiej.

Ks. Jezierski, który nigdy takiego skutku wielkiego szczęścia nie widział, nazwał go potem babą i wyłajał za ten zbytek sentymentu.

Posłowie się rozjeżdżali, bo sejm był limitowany, i to dozwoliło p. Jackowi już w swój dyplom opatrzonem, ruszyć naprzód do rodziców.

Staruszkowie mieszkali w mało co lepszej chałupie na przedmieściu nad tą, którą niegdyś mieli w lesie. Stara Maryś, która tam tyle biedy doznała, tyle

tez wylała, teraz gdy się do miasta wynieśli. tęskniła za leśną chatą. Zdawało jej się, że tam wszystko było lepiej, warzywa rodziły się smaczniejsze. powietrze było zdrowsze. woda czystsza...

— Ej nie to to, co w lesie!

A choć las i tu za stawem był bardzo blisko, choć jej do niego nikt iść nie bronił. powiadała siedząc u pieca:

— Nie ten to las co tam! Co za porównanie!

Antoszek stary, tu mając spoczynek i swobodę mało z nich korzystał. Nawykły do krzątania się ciąglego. sam usługiwał sobie, rzadko usiadł na miejscu i milczący dłużył coś ciągle, choć nie potrzeba było. W najgorszym razie do artystycznej doskonałości doprowadzał luczywo, którego trzaseczki na pół przezroczyste zdawały się raczej do zabawy. niż na podpałkę przeznaczone.

Oboje wręście zostawiając chałupę pod dozorem dziewczyny, która im posługiwała, często do blizkiego kościoła k.k. reformatów chodzili się modlić. Sama ni by z mieszczańska, ni by ze szlachecka ubrana wciskała się choć do ostatniej ławki. on, w kurpiach i kożusku z kijem w ręku, z czapką pod pachą stawał pokornie tuż u kruchty. i łatwo go wziąć było można za kościelnego dziadka.

Tu to jednego dnia gdy oboje modlili się w czasie nieszpórów, przed niedzielą, o mroku już Antoszek zobaczył wchodzącego syna, który tylko co przybywszy do miasteczka. a kościół znajdując otwarty, wstąpił panu Bogu dziękować, że go ze złej dźwignął toni.

Stary. choć Jacka zaraz poznał i serce mu uderzyło, do niego nie śmiał się zbliżyć aby mu wstydu nie zrobić. a że mrok był a on szedł prosto ku wielkiemu ołtarzowi, z początku rodziców nie dojrzał. Matce serce zabiło, ale pewności nie miała czy to był on czy nie. Spojrzeli tylko na siebie z mężem i w milczeniu zaczęli pokazywać na Jacka. Antoszek zaręczał. że to on był, Marys stara wątpiła.

W istocie spojrzawszy na tych dwoje pokornych staruszków trudno się w nich było domysleć rodziców pokaźnego, pięknej postawy mężczyzny, ubranego hardzo dostatnio i przy szabli, którą miał zawieszoną na haczykach, aby się nie wlokła, idącego ku ołtarzowi.

Widzieli jak tu kląkł, ręce szeroko rozłożył, głowę podniósł ku niebu, westchnął, modlić się zaczął pół głosem i bić w piersi. Chwilę długą pozostał tak zamodlony i zadumany, potem pochylił się, ziemię pocałował, w piersi nderzył znowu, wstał zwolna, do skarbonki na prawo poszedł wrzucić kilka groszy i zawrócił ku wyjściu.

Rodzice ścigali go oczami. Maryś go teraz na pewno poznała, ale nie śmiała przystąpić, siedziała jak wryta. Odziana była tak ubogo, a on wyglądał tak pańsko.

Jacek wyszedł tym czasem z zadumy swej, oczami potoczył do koła i zobaczywszy matkę stanął, a potem wnet przyspieszonym krokiem postąpił ku niej i przypadł do kolan jej, a Maryś, w płacz! Antoszek podbiegł i jeszcze kożuszyny wstydził, czy mu wypadało przystąpić czy nie do tego jasnego syna?

Ale Jacek kolana matki nscisnąwszy, zawrócił się tak samo do ojca, który o mało też nie ukląkł przed nim; a rozpłakał się głośno.

Nikogo już w kościele świadkiem tej rozczulającej sceny nie było, oprócz jednego dziadka, który świece pogasiwszy z kijem w ręku stał, patrzył i wytłumaczyć sobie tego nie umiał.

Wyszli tak wszystko troje razem z kościoła, i powolnym krokiem poczęli wracać ku chacie.

O szczęściu dziecka nie wiedzieli jeszcze starzy. Dopiero teraz im Jacek oznajmił, dobywając w chustkę zawinięte pudełko, które pargamin zawierało, że oto narzeczonej swej szlachectwo wiózł..

Pocziwi staruszkowie nie mogli swej ciekawości pohamować, żeby też zobaczyć jak ono wyglądało, ale z tem czekać musieli do chaty... Tym czasem sy-

pały się pytania, jak, przez kogo udało się to zdobyć, i co dalej?

Jacek mówił im, że prosto ztąd do Łowczego do Wólki jedzie, aby raz skończyć i narzeczoną poślubić.

— Jak o dzień weselny umówimy się—rzekł matkę całując w rękę — no, to róbcie sobie co chcecie. a na weselu mojem mnsicie być!

Antoszek aż oczy zakrył.

— O! Jezu! Marya!

Matka się namarszczyła.

— Co tobie w głowie? — rzekła — aby tam sobie z nas biedniaków kpili i urągali? Co z tego to nic nie będzie!

— Matus kochana. mało wiele, a ja was tam pokazać muszę — odparł Jacek — dosyć się ja nacierpiałem kłamać i tać się będąc zmuszony. Nauczyłem się tego teraz, że nie godzi się swojego stanu, jakibykolwiek był, wstydać, ani się godzi rodziców zapierać. Szlachcicem jestem z łaski Stanów Rzptej i królewskiej, ale z czegom wyszedł tego ja tać nie myślę, nie chcę.

O! Jezu! Marya! — powtórzył przestraszony Antoszek...

— Nam się to na nic nie zdało—przerwała matka— a pchać się między butną szlachtę, żeby na nas tam kuso patrzali, człek by się tylko wstydu napił. Porzuć ty to. Dosyć będzie, gdy żonę nam kiedy przywieziesz i pokażesz, abysmy jej za dobre serce dla ciebie podziękowali.

Jacek nic nie odpowiedział, ale nie widać było żeby od swej myśli odstępował, pokręcił wasa i wchodził.

A że stary Antoszek dopominał się aby szlachectwo zobaczyć, rozwinęto chustę, otworzył Jacek pudełko safianowe i ukazał w niem pargaminową kartę, z pięknie malowanym herbem Zadorą... Na sznurze grubym jedwabnym, wisała przy niej w osobnem puzderku blaszanem pieczęć wielka, którą Antoszek pobożnie ucałował.

Po czem znowu najstaranniej ułożono i zapakowano owo szlachectwo. Jacek je w chustkę zwinął i schował.

Śmiał się stary lesnik, głowę siwą gładząc i syna ściskając, matka dumnie chodziła po chacie w boki się wzięwszy, myśląc może w duchu, że to ona wszystkiego tego dokazała, pierwszą myśl poddawszy wyszlachcenia syna.

Następny dzień cały poświęcił rodzicom Zadorski, a że gorąco było, siedzieli na przyźbie przed chatą i słuchali go opowiadającego swoje dzieje.

— A teraz—zakończył Jacek—jutro trzeba w drogę, naprzód do Kodnia staremu Koniuszemu się pokłonić, potem do Wólki, aby raz oczekiwanie się długoletnie skończyło.

I z błogosławieństwem rodziców odjechał.

W Kodniu wszystko było po staremu, ale teraz księżna tu rzadziej dojeżdżała, siadywała krócej, dwór jej się trochę rozpięrzchnął, a co do niego przylgnęło, postarzało, podupadło.

Drobisz przez te lat ośm, choć się zawsze trzymał, choć też same obowiązki, których coraz mniej było, spełniał — posunął się znacznie. Chód nie był tak pewny, ociężały i plecy się przygarbiły, polowanie go tak nie nęciło, rad czasem w ciepłym kącie się zasiadywał i na nogi kawęczał. O starych czasach opowiadając powtarzał się, a nowe jakoś mu się daleko gorszymi od tamtych wydawały. Według niego ludzie, klimat, wszystko podupadało i psuło się. W dodatku jak nie na Infułazyi z księżni, lub na zamku z oficyalistami, nie miał z kim gadać.

W rezydencyi przez większą część roku pusto było.

Jacek Zadorski o którego pobycie w Warszawie i staraniach wiedział, mocno go zawsze zajmował — tem bardziej, że z karteczek od niego odbieranych przy listach do Łowczanki, nic się dowiedzieć nie było można.

Nadzwyczaj go zaciekawiało, czy też on na swoim postawi, i — szlachcicem się wypromowuje. —

Łowczanka cierpliwie bardzo czekała na to, a była takiego żelaznego temperamentu kobieta. że choć wiele do przeniesienia miała, chodziła prawie wesoła i nie schudła ani postarzała. Koniuszy z podziwieniem nważał, iż ntyła, zaokrągliła się i niby drugą młodością kwitła.

Jeszcze dotychczas puszczali się do niej konkurenci, wabieni posagiem. próbowali przypodobać się jeden wesołością. drugi elegancją. inni pańskiem występowaniem. nie czyniło to na niej wrażenia.

Czekała.

Wiedział i to pan Koniuszy, że rodzice nalegali coraz mocniej aby szła koniecznie za mąż. i o los swój ich uspokoiła. Od roku do roku odkładała, wypraszała się, aż na ostatek Łowczy jej powiedział.

— Już tego dosyć — nie chcesz ty mnie widzieć na marach. musisz w tym roku ślubować — komu chcesz, ale niechże raz temu koniec będzie. A właśnie rok ten nplywał — nie wiele go zostawało, i dla tego musiał Jacek przyspieszyć swoją nobilitację.

Łowczy miał już napiętego męża dla córki, pana Podśędka Pokrzywnickiego. wdowca bezdzietnego, lat czterdziestu kilku. ale pięknego mężczyznę. rumianego. zdrowego i prezencyi rzadkiej.

Podśędek mówił gładko, nie wyczerpanym był w anegdotkach i pogadankach. galant. człek i z wielkim światem nie bez stosunków — słowem przyjemny tak. że nieprzyjaciół nie miał. Kochali go wszyscy, gdzie się zjawiał radowano mu się, tylko, prawdę rzekłszy, próżniak był kubek w kubek jak Łowczy. W maryasza zagrać. w warcaby, do kieliszka stanąć. mówkę powiedzieć zwaśniionych godzić, swatać. — wszędzie gdzie gębą było potrzeba posłużyć — jego rzecz była — a fałdów przysiedzieć i popracować nad czemś w cichości nie tylko że nie umiał, ale się to dla niego ze śmiercią równało.

Łowczanka, gdyby tylko konkurentem nie był, dosyć go lubiła. Za konkurenta znać go nie chcąc, gdy przyszedł się pośmiać, zabawić, wierszyki wydeklamować, słuchała go chętnie, ożywiała się w rozmowie i daleko dlań była łaskawszą niż dla drugich.

To dawało panu Łowczemu otuchę, że na ostatek, gdy termin ostateczny nadejdzie, panna go z ręki jego przyjmie i będzie szczęśliwą.

Na rachunek tej nadziei Podsędek co raz to piękniejsze sobie żupaniki sprawiał, buty paradne, pasy świetne, i z pomocą zimnej wody twarz utrzymywał w młodzieńczym rumieńcu, a wąż do góry po kawalersku!

Gdy po cichu przy warcabach z sobą mówili o tem Podsędek z Łowczym. staruszek brał go za rękę i kończył:

— E! jakoś to będzie.

A Podsędek w ramię go całował, śmiejąc się (bo zawsze się śmiał, nawet gdy nie było z czego) i powtarzał:

— Królu mój—(to było jego przysłowie)—jakoś to będzie. byleś nam zdrów był...

I grali w warcaby i opowiadali sobie trybunalskie historye stare.

Łowczanka czekała ciągle.

Jednego tedy wieczora. jak miała zwyczaj, wyszła na groblę za dwór do Krzyża, nie spodziewając się nic wcale, gdy nadjeżdżającą bryczkę zobaczyła.

Koniki były wcale okazałe, uprząż skromna ale smakowna, nowy kilimek pokrywał siedzenie, na kilimku średnich lat mężczyzna przystojny, wyprostowany ku dworowi poglądał.

Z dała już zobaczywszy pannę Barbarę. kazał koniom stanąć, skoczył, czapkę podniósł do góry i podbiegł ku niej z radością wielką. Panna też zarumieniwszy się stanęła, oczom swym prawie wierzyć niechcąc.

Był to Jacek Zadorski.

— Łowczanko dobrodziejko—zawołał z uniesieniem, oto nareszcie przybywam u nóg twoich składając do-

Zadora.

wód, że chłopem nie jestem — i że do twej ręki posu-
nąć mi się godzi.

To mówiąc z za kontusza dobywał pudełko.

Łowczanka odetchnęło, zwycięzko zabłysnęły jej
oczy.

— Niech będą Bogu dzięki—odezwała się—choćmy
do rodziców...

Podawała mu rękę do pocałowania, Jacek drżał
cały.

— A! czem ja wam za to się wywdzięczę — wołał—
osm lat tłukłem się jak Marek po piekle. harując,
pracując, prosząc i modląc o ten klejnot szlachecki,
którego zdobyć nie było można, aż teraz. Wy, moja
dobra, święta panno Barbaro, mieliście litość i cier-
pliwość czekać na mnie.— O! czem wam wywdzięczę...

— Już to tam o tem potem — odparła wesoło Łow-
czanka, a powiem wam szczerze, że ten ostatni rok
najcięższym był dla mnie. Rodzice ualegali straszliwie
i słusznosc mieli. Gdyby jeszcze się przeciągnęło —
nie poszłabym za mąż dla siebie, musiałabym dla
nich!

Jacek popatrzał na nią.

— Rodzicom się też od was wiele należy—przydała
Łowczanka.

Wyrazy te głęboko utkwily w nim, jak gdyby
przez usta jej Pan Bóg mu jego obowiązek przypo-
minal.

Więc pytania następowały jedno po drugim,
a potem narady jak sobie miał postąpić Jacek z rodzi-
cami, jak mówić z nimi. Posłuszny we wszystkim go-
dząc się na to co Łowczanka chciała, Jacek o jedno
tylko prosił, aby już teraz wesela nie zwlekać.

Dnia tego, jak zwykle. Podsędek był w Wólce
i Łowczego zabawiał, umówiono się tedy aby panna
wróciła naprzód do dworu sama, a później Zadorski
nadjechał i przypomniał się państwu Łowczym.

Gdy panna Barbara wracała co prędzej nazad.
Jacek tym czasem chłopcu się kazał z pyłu otrzepać,
około koni coś poprawić, zmarudził tak czasu kawał

umyślnie i dopiero zmiarkowawszy, że panna już dawno zejść musiała. siadł na swą bryczkę, rozkazując zajeżdżać przed ganek.

Że uprząż i konie były nie znane, Podsędek z Łowczym przez okno otwarte z jadalni ciekawie wyjrzeli. Stary go nie poznał; Podsędek nigdy na oczy nie widział.

Choć mu serce biło mocno. przybrawszy postawę — jak się dawniej wyrażano — bezpieczną, wszedł do jadalni Jacek wprost ku Łowczemu, który od blasku oczy sobie przysłoniwszy ciekawie się mu przypatrywał.

— Czołem panu Łowczemu dobrodziejowi, choć nie pozujący a stary sługa jego. mam honor submitować się, Jacek Zadora Zadorski.

Łowczy nie mógł powstrzymać wykrzyku.

— Pan Jezus przy dziecięciu! A z kąd żeś się asindziej wziął, i kędyżes przez te lata siedział, żeśmy już myśleli, iż cię na świecie nie ma!

— Nie tajno to pann Łowczemu — mówił Jacek śmiało — że mnie na ówczas gdym na dworze księżnej Jejmości przebywał, złe języki pomawiały jakobyem sobie szlachecki klejnot uzurpował...

Tu westchnął.

Nie mając naówczas dowodów, musiałem w świat iść — mówił dalej Jacek — i szukać ich, a gdybym nie znalazł, szlactwa się dobijać, aby sromu nie cierpieć. Pan Bóg moim usiłowaniom poszczęścił. Nie chciałem się tu pokazywać, aż bym dokumentnie dowiódł szlactwa mego. Dopiero więc teraz się stawię.

Podsędek, który stojąc za Łowczym, słuchał tej mowy z ustami otwartymi. zwietrzył co się w niej święciło i nosa spuścił. Czuł, że tu mu się gotowała odprawa.

Łowczy patrzył na przybyłego, głową kręcił, i nie mogąc nic innego znaleźć chwilowo do powiedzenia a d h o c, do jejmości na przeciwek prosił.

Wchodząc zastali tu Łowczynę, która bodaj czy

przez córkę zawiadomiona nie była, i pannę Barbarę, zawsze chodzącą w czerni, po raz pierwszy w białej sukni i z kwiatem we włosach.

Miało to też swe znaczenie, a Podśędek po cichu rzekł sobie w duchu:

— Ole um per didd! nie mam tu co popasać!

Witała Łowczyni bardzo czule przybyłego, a Barbara wesoło, ale nie okazując zbytniego poruszenia i ze skromnością wielką. Łowczy zakłopotany wielce z okazji Podśędka, jak okradziony szedł, nie śmiejąc i spojrzeć na niego.

Zaczęto wypytywać, gdzie przebywał pan Jacek, na co on ogólnie jakoś odpowiedział, że po kancelaryach pracował. ostatnio zas u Ks. Podkancelrzeg, któremu był wielce obowiązany.

Po wsiach, gdzie do starego porządku ludzie przywiązani byli i, mimo patryotyzmu, nowym reformom nie bardzo byli radzi, Kółkaj nie był w wielkiej estymie, zmilczano więc posłyszawszy o nim.

Podśędek zrobił minę jakby powiedzieć chciał:

— Oj! to ptasio!

Mężka połowa towarzystwa, Łowczy i Podśędek, oba frasobliwi, gdy Jacek z kobietami rozmawiać zaczął, dali sobie znak i wyszli.

Nie mówiąc słowa doszli tak do połowy izby jadalnej obok siebie w takt równy stukając. Tu podnieśli głowy, popatrzała się sobie w oczy i Podśędek wydał z głębin piersi szeroki westchnienie potężne.

Łowczy na to nie słowem ale ruchem rąk na piersi położonych, potem szeroko rozciągniętych, odpowiedział.

Stali milczący.

Z ruska tedy ozwał się Podśędek, bo miał zwyczaj niekiedy zarywać tym językiem:

— Propau Sawka z dudami!

Na co Łowczy, nie śmiejąc go dłużej uwodzić nadzieją próżną, szepnął:

— Wola Boża!

Chwilkę pomyślał — potem na ramieniu Podsedekowi rękę swą suchą położył. i dodał:

— Nie żurysia! Czekaj! Zobaczymy...

— A ba! co ja tu już dobrego zobaczę.

— Czekaj! powtórzył Łowczy. Skłonił się Podsedek, lecz zasepiony już najmniej nie okazywał nadziei, aby mógł się czego innego spodziewać jak cudzego wesela.

Zaczęto nakrywać do wieczerzy. a dwaj ichmość zagrali przy oknie w warcaby. nic do siebie nie mówiąc. Dopiero gdy Łowczy przegrał, począł szeptać:

— Ośm lat! Zważ ty to sobie. przez lat ośm nie dawał o sobie najmniejszej wiadomości. Myślałem. że go gdzie wilcy zjedli. Żeby pisał.

— Mój Łowczy dobrodzieju—przerwał Podsedek—jak Bóg żyw, panna o nim wiedzieć musiała. choć milczała. — Ho! ho! bez tego sentyment by nie strzymał!

— Przecie by coś transpirowało! dołożył ruszając ramionami.—No—Bóg ich wie!

Rozumie się, że konie p. Jacka wzięto do stajni i on na noc pozostał. a że dwu gościnnych pokojów nie było, postawiono ich razem z Podsedekkiem.

Nie było to dla nich przyjemnem, ale Pokrzywnicki był człowiekiem wielkiej experyencyi i przedziwnego taktu. tak iż do wszelkiego położenia nagiąć się i zastosować umiał. Gdy więc przyszli razem do izby. w której dla nich dwa tarczany stały gotowe. a nie było sposobu uniknięcia rozmowy, Podsedek począł de publicis.

Mając przed sobą pomocnika Podkanclerzego, nie wypadało mu okazywać się czem był, to jest zwolennikiem starego porządku—począł chwalić zacnych patryotów, wątpiąc tylko. czy ich stutysięczne wojsko i inne uchwały na papierze. dadzą się w życie wprowadzić.

Takie preludyum uczyniwszy nie z tego tonu z jakiego grać chciał. zwrócił się do — personaljów, i w zręcznym peryodzie wyraził delikatnie, iż mu

nie było obcem to. że w p. Zadorskim szczęśliwego bodaj konkurenta Łowczanki oglądał.

Podziękował za grzeczność pan Jacek i zmilczał.

— Mogę panu winszować—dodał Podsędek—gdyż mając szczęście od niejakiego czasu często tu gościć, cnót i przymiotów panny Łowczanki napatrzeć się też miałem sposobność. Heroina to jest wielkich cnót i doskonałości!

Na tem wieczorna rozmowa dokończona została. a wkrótce potem Podsędek ległszy tak straszliwie chrapać zaczął i świstać przez sen. jakby wiedział. iż Jackowi spać się ani brało ani chciało.

Gdy muzyka ta ustała nad ranem, Zadorski dopiero usnął. a Podsędek przededniem obudzony do ogrodu z pacierzami poszedł.

Ranek był bardzo piękny, ale dla biednego Pokrzywnickiego smutny. Odmawiając koronkę chodził i wdychał, gdy w głębi ogrodu niespodzianie, ową heroinę wczorajszą spotkał z pękiem kwiatów w ręku

A że człek był grzeczny, choć mu większa część niedokończonej koronki przepadła (bo ją w takim razie rozpoczynano na nowo)—powitał heroinę:

— Jakże panna Łowczanka ranna!—zawołał.

— Wzajem to sobie powiedzieć musimy — odparła panna Barbara.

Rzecz wielce osobliwa — spojrzawszy w oczy pannie, gdy się ją bardzo szczęśliwą widzieć spodziewał, znalazł w twarzy wyraz nadąsania i jakby wielkiej niecierpliwości, prawie gniewu.

— Że ja wstałem rano, to nie dziw, panno Łowczanko dobrodziejko—rzekł — na duszy mi dziś bardzo ciężko. Nie mam co tajić! Przybycie tego szczęśliwego pana Jacka. dla mnie jest sygnałem. abym się rejterował! A kto długo żywił jaką taką nadzieję w sercu, temu wyrwanie jej. niezmierną sprawia boleść.

Gdy to mówił panna w kwiatki patrzała dziw-

nie. oczkami osłupiałemi i zaognionemi razem, usta jej się poruszały, listki obrywała i rzucała na ziemię.

— Zatem mi dziś żegnać przychodzi! — dodał.

— Czegoż się pan tak masz spieszyć! — zawołała Łowczanka. Czego? Nie spiesz się waćpan.

Ostatnie słowa wyrwały się jej jakby mimowolnie i uciekła.

Spojrzał na idącą, szła nie pewnym krokiem. poruszona jakby ją coś dotknęło boleśnie.

— Cóż to może być? Nie spiesz się! — powiedziała mi sama, co to może być?

Stałał Podśedek i dumiał.

Uważał, że wczorajszego wieczora pauna z kawalerem przy oknie prowadzili bardzo żywą rozmowę. Jacek nachyliwszy się coś jej powiedział. panna się rzuciła, żywo zamienili jeszcze słów kilkanaście. a potem nagle. jakby ich co rozpędziło. rozeszli się i Łowczanka znikła, a oni do snu już się. pożegnawszy, zabrali.

Ośm lat na siebie czekali? Cóż mogło zająć?

Podśedek uderzył się w głowę. pobiegł żywo do Łowczego, u którego już okna były otwarte...

— Co tam asana tak pędzi? — zapytał stary...

— Coś się stało! Łowczy, łaskawco, dobrodzieju! Coś się stało! Niepojęta rzecz. Wracam z ogrodu, spotkałem pannę Barbarę. czegoś poirytowaną mocno. Gdym chciał ją żegnać. bo dziś miałem odjechać, powiada mi. ale to z takim akcentem! Czego się asiudziej masz spieszyć!

— Hm! to ma swe znaczenie!

Łowczy potrząsł głową.

— Czy ci się nie przydało?

— Klnę się na co mam najświętszego! Imaginatykiem nie jestem... Wczoraj wieczorem ci państwo... czegoś. ja nie wiem. popstrykali się.

— Nie może to być — zawołał Łowczy.

— Ale jest! przekonasz się! — zaklął się Podśedek.

— Ba! No to siedź — rzekł stary. A kto kiedy by zrozumi, faemina variabilis.

Gdy się to działo w izbie pana Łowczego, Jacek się też obudził, przyodział co żywiej i z czołem namarszczonem wielce. wyjrawszy oknem że ranek już późny. skoczył pędem do ogrodu.

Pobiegł od razu w sam koniec. przetrząsł uliczki wszystkie. szukać się zdał kogoś nie znalazł. w końcu na ławę pod lipą siadł i zadumał się. Wielkie szczęście na które lat ośm czekał, robiło teraz na nim wrażenie takie, jakby go kto kamieniem w łeb nderzył. Twarz miał wykrzywioną. zmienioną. przelęklą.

Siedział długo. oglądał się. gdy w końcu dojrzał białej sukni. Łowczanka się zbliżała wolnym krokiem ku niemu. Wstał i poszedł też przeciw niej.

Nie było przywitania. Stanęli nieco opodal od siebie.

Panna w oczach łzy miała, ale i gniew razem.

— Cóż się pan namyslił? — zapytała głosem nieco dumnym patrząc mu w oczy.

— Tak jest, panno Łowczanko dobrodziejko. namysliłem się.

— Cóż mi waćpan powiesz?

— To co i wczoraj — rzekł głosem, w którym boleść brzmiała Jacek. Podłym bym był gdybym się rodziców zapierał. i gdyby im chociaż w kościele na moim ślubie pokazać się nie było wolno..

— Upieracie się waćpan przy tem? — zapytała drżącym głosem panna.

— Stoję przy tem co mi sumienie i miłość przez Boga nakazana. dyktują — rzekł pan Jacek.

— A! tego już nadto! — krzyknęła gniewnie panna. Tego nadto! Jedź waćpan. zkądeś przybył! Adieu!

Kiwnęła mu głową i poszła.

Jackowi łzy stały w oczach. wyprostował się. zaciął zęby. i poszedł do dworu. Chłopca spotkał w sieni.

— Tłumok na bryczkę — rzekł i w dziesięć minut żeby mi konie były! Słyszysz! natychmiast!

Chłopak pobiegł jak oparzony. Jacek stał trochę, czapkę w rękę miał i skierował się ku pokojowi Łowczego. Twarz się starał wyjaśnić, co mu się nie udało.

Łowczy właśnie był na onej gawędce jeszcze przedłużającej się z Podśędkiem. gdy wszedł Jacek i zbliżył się ku niemu.

— Pan Łowczy mi daruje, że go tak rano inkomoduję — rzekł — wypadł mi interes nagły, muszę natychmiast jechać, a nie chciałem tego uczynić póki bym waćpana dobrodzieja nie pożegnał.

— Cóż to? cóż to? — przebaknął Łowczy zaciekawiony niezmiernie.

— Gwałtowna potrzeba — przebaknął kłaniając się Jacek i przychyłając do ramienia starego. Do nóg pana się ścielę.

Podśędkowi się ukloniwszy. i wyrażenie dalszej unikając rozmowy Jacek zawrócił się do drzwi i wyszedł.

Bryczki z końmi nie było jeszcze, wprost więc nakazawszy chłopcu jechać za sobą. pieszo groblą żywym krokiem posuwał się Jacek i wkrótce go wierzby zakryły.

Panna Barbara w oknie siedziała i patrzała, nuż się zawróci. nuż choć obejrzy, nuż mu serce zmięknie. Nie dał znaku. poszedł... Bryczka pospiesznie za nim pognęła. zahuczała. zaturkotała... i skończyło się wszystko... Marzenia życia całego, ośm lat oczekiwania... miłość wielka, wszystko się o dumne słówko rozbiło.

Łowczy w godzinę potem poszedł „penetrować“ na zwiady.

Łowczynę zastał we łzach, ale milczącą. córkę w gniewie niezmiernym. że jej dla śmiechu serdecznego rękę przewiązywano. Co się stało o tem nie było sposobu dowiedzieć się, lecz widocznem było, iż z sobą po latach ośmiu zerwali.

Wrócił stary do Podsędką.

— Widzisz! panna miała rację gdy ci czekać i nie spieszyć kazała. Coś zaszło. ale to tajemnica. rozeszli się.

— Rozeszli—krzyknął bijąc w dłonie Pokrzywnicki. Wielki Boże! rozeszli się!

Do obiadu panna Barbara nie wyszła wcale. Badana, matka odpowiedziała, iż nie wie nic, tylko jedno słyszała, gdy Basieczka krzyczała ciągle powtarzając. A tego to już nadto!

— Coś jegomość przeszkrobał—rzekł Łowczy—czekajmy, wyjaśni się.

Grali potem w warcaby czyniąc najdziksze przypuszczenia, Łowczy kończył za każdą razą.

— Kto te baby zrozumie!

Podsędek już ani myślał odjeżdżać.

Panna Barbara pod wieczór się znacznie uspokoiła. Zdaje się, że miała jakąś nadzieję, iż kawaler rozmyśli się i albo przyjedzie lub przyśle z desprekacją.

Upłynął i ten dzień i drugi, nie przyszło nic. ani list. Ile razy na grobli zahuczało Łowczanka biegła do okna; a wróciwszy do niego zalewała się łzami.

Matce jednak nie powiedziała o co poszło i co ich poróżniło. Upłynęło tak dni pięć. Gdy ją zobaczył wychodzącą do sali Podsędek nastraszył się tak była zmienioną i prawie nagle zestarzałą. Słowa z niej dobyć było trudno. nie słyszała co do niej mówiono.

Gdy od stołu wstali, chociaż z niesmiałością wielką, Pokrzywnicki ku pannie kołując zbliżyć się zaczął. Nie unikała go.

— Dziś pannie Łowczance lepiej?

— Zupełnie mi dobrze — odparła głosem zmienionym.

— Ból głowy?

— Ustał...

Nie śmiał obcesowo się oświadczać Podsędek, choć Łowczy mu mówił, bij żelazo póki gorące.

Siedli u okna, naprzód ona, potem on wielce wdzięcznie układając grube nogi.

— Panna Łowczanka — odezwał się zebrawszy na wielkie mężstwo — nie wiem czy sobie przypomina, iż była łaskawą, kazać mi czekać. Czy mogę śmieć?

Spojrzała nań panna, ale we wzroku był jeszcze taki gniew, że Pokrzywnicki zdrętwiał.

— Mów pan! — rzekła.

— A! czyż mówić mi potrzeba — z zapalem zawołał Podsędek rękę kładnąc na sercu — czyż mam mizernemi słowy malować sentyment jakim na wskrós dla panny Łowczanki przejęty jestem, a który od niej wygląda miłosierdzia.

— Rzeknij słowo — dodał aplikując dosyć niewłaściwie (zapał go nieco tłumaczył) słowa sakramentalne. Rzeknij słowo, a uszczęśliwisz sługę swojego!

— Nikogo ja uszczęśliwić nie mogę — odezwała się Łowczanka — bo sama nigdy szczęśliwą nie będę, ale, jeżeli waćpan chcesz starą pannę kwaśną mieć za żonę, oto masz rękę moją.

Stukot się zrobił w salce taki, że Łowczyna wpadła przestraszona. Podsędek rzucił się był z takim impetem na kolana przed panną, która ręki mu nie wyrrywając płakała.

— Chryste panie! co się stało! — zawołała Łowczyna.

— Pani jestem najszczęśliwszym z ludzi! — krzyknął rękę podnosząc Podsędek...

Szczęśliwość jednak tak go przygniotła, że gdyby mu, wchodząc w jego położenie Łowczyna ręki nie podała, z ziemi by się był nie mógł podźwignąć.

Później zaś okazało się, że na obu szczęśliwych kolanach, miał Podsędek since nawet po weselu.

I rodzice i panna i przyszły małżonek Łowczanki żądali wszyscy jednozgodnie, aby wesele to było o ile możności przyspieszone.

Na gwałt więc pojechał się ekwipować Podsedek. a w Wólce czyniono przygotowania do wesela jakich mało pamiętała okolica.

— Jedno dziecko mam—mówił Łowczy — nie chcę żałować dla niej. Niech znają ludzie co mnie skąpym nazywają! W bród będzie czego dusza zapagnie! W bród!

Raz dawszy słowo Łowczanka. chociaż przysięmu mężowi nie okazywała żadnej czułości, nie dąsała się też na niego i nie dziwaczyła.

Z wielkiem mężstwem. gdy nadszedł dzień ślubu. dała sobie przypiąć wianuszek. nie uroniwszy łyż padła do nóg rodzicom, prosząc o błogosławieństwo... Przez drogę do Kodnia nie rzekła słowa, patrzała oczyma jasnymi przed się. a co drndzy mówili zdawała się nie słyszeć.

Ślub odbywał się przed cudownym obrazem. W orszaku licznym weszło wesele do kościoła, gdzie już mnóstwo ciekawych z miasteczka było zgromadzonych...

Głosem dobitnym i jasnym wymówiona odbiła się o sklepienie przysięga. zahuczały organy i w tryumfie szli państwo młodzi. mijając gęsto zbity tłum.

Panna Barbara, jakby ją co tknęło. nagle oczy podniosła. O trzy kroki od niej stał, Jacek Zadorski, czarno ubrany. błady ale z wyrazem wielkiego spokoju na męskiej twarzy.

Oczy się ich spotkały z sobą. pani młoda zachwiała się i pierwsza je spuściła. potem z siłą jakąś. która jej przybyła nagle. poszła żywszym krokiem ku drzwiom kościelnym...

Wielkie było zdumienie starego Koniuszego, gdy dnia jednego w białym kitlu powracając ze stajni, ujrzał przed sobą stojącego Jacka...

— Ty! tu? — zawołał rzucając mu się na szyję. A niech-że cię przywitam! Jawnie i oczywiście, tandem do portu dobiełeś? Masz swe szlachectwo.

— Mam—rzekł Jacek smutnie.

— Zatem nie pozostaje nic, tylko konie zaprządz, do panny jechać i wesele sprawić.

— Właśnie ztamtąd powracam.

— Wszystko skończone!—zawołał Koniuszy.

— A! wszystko skończone!—odparł Jacek.

— Ba! i cóż tak smutnie?

— Z pannąśmy się rozeszli—rzekł Zadorski.

Nie zrozumiał Drobisz.

— Coś ty? zwarzował? po ośmiu latach próby i służby, jak za Rachelę? Co bo pleciesz?

— Nie plotę, panna mi kazała iść precz...

Z twarzy Zadorskiego zmiarkował Koniuszy, że to nie były żarty.

— Na rany Chrystusowe! mów jasno? Cóżes zawi-
nił?

Zadorski chwilę stał bezmownym.

— Sądz mi, mój ojcie — rzekł poważnie. Mam rodziców, są ludzie ubodzy i prości, lecz są rodzicami memi, którym ja winienem wszystko, którzy cierpieli dla mnie. Prosiłem jak o łaskę aby ono biedactwo choć na ślubie się znajdować mogło, choć pobłogosławić.

— Miałeś racya! co u kata! zawołał oburzony Koniuszy.

— Panna mi odpowiedziała na to, a tego to już nadto! i —

— I. porzuciłeś ją?

— Kazała mi iść zkaąd przyszedłem — dokończył Jacek.

— Niech że ją!—zamachnął ręką, stary Koniuszy... Poszli zwolna do izby.

— Ona się upamięta — dodał stary — nie może to być. obojeście dla siebie tyle ucierpieli.

— Wątpię aby ona zmieniła postanowienie—rzekł Jacek — a ja mojego nie mogę. Kocham moich starych i despektu im uczynić nie dam... Żal mi tylko zem się dla niej marnego tego klejuotu tak dobijał — krzyknął pudłem o ziemię ciskając. Chamem się urodziłem, chamem trzeba było umierać...

Wzdrygnął się podejmując z ziemi dyplom Koniuszy.

— Nie bądź warjatem!—rzekł poważnie.

Jak tam ten dzień upłynął na narzekaniach i na przekleństwach, opisywać tego niepodobna. Chciał zaraz Jacek jechać do Białej. ale go stary nie puścił, widząc że prawie był bezprzytomnym i jakby w gorączce. Może też spodziewał się jeszcze. iż rzeczy albo się nłożą lub gdy umysły ochłodną. znajdzie uczciwy sposób pojednania.

Tak z dnia na dzień, uspokajając biednego Jaceka, wodząc go z sobą codziennie do kościoła przetrzymał go Koniuszy... Już jednak miał jechać. gdy wedle słów doktora, z aprehensyi wielkiej dostał febry a żółć mu się poburzyła tak. że w dawnej swej izdebce musiał obledz i chorował tam aż do wesela panny Barbary. W sam ten dzień. chciał je przed nim utaić Drobisz, ale służba się wygadała i nie podobna go było niczem powstrzymać ażeby do kościoła nie szedł. Tyle tylko dokazał stary. że go nie odstępował i razem z nim musiał iść. obawiając się jakiej historyi.

Miał go ciągle na oku. lecz Jacek znalazł się bardzo przyzwoicie. a choć blisko podszedł gdy od ołtarza powracali. choć spojrział raz jeszcze na nią, oprócz Koniuszego nikt może tego nie dostrzegł.

Ostatni wyszli z kościoła, gdy już wesele całe odjechało, i tłum się rozsypał.

— Serceś sobie daremnie popsował — odezwał się do niego Koniuszy gdy powoli szli ku dworowi—po co to było iść. i mnie z sobą ciągnąć!

— Nie, ojczulku—rzekł Jacek — sercem sobie naprawił i uzbroił. aby wiedziało, iż nadziei szczęśliwości na ziemi dla niego już nie ma!

— Nie plótn byś—odparł Koniuszy. — Gdybyś miał rozum, właśnie byś na złość jej wybrał sobie młodą i ożenił się, a byłbyś szczęśliwy.

— Chyba nie — rzekł Jacek — co innego to dorywcze amory i po nich ochota do odwetu. Ja już mogę powiedzieć. jakby wdowcem po niej jestem, ośm lat żyłem myślami z nią i dla niej, przyrosła mi do serca — a teraz...

— Wszystko to z czasem zwietrzeje! — rzekł Koniuszy.

Parę dni jeszcze zabawił Jacek tutaj. chodząc jak mruk. jak cień. nakoniec do rodziców się wybrał.

Tam w ubogiej chatce myślano o nim nieustannie i starzy mówili sobie, że się już ożenić musiał. A że im się na weselu być nie dostało, wcale nie brali do serca. bo się tego nie domagali i nie spodziewali.

Gdy Jacek, konie zostawiwszy w gospodzie, przyszedł sam do rodziców, podbiegli ku niemu oboje z wesołemi twarzami.

— A co, Jacku kochany! po weselu...

— Gdzież tam! — odparł usiłując się uśmiechnąć— wesela już nie będzie.

— Toż dla czego?—zawołała stara — a takescie się kochali.

— Prawda. ale pannie się czekać znudziło—wybrała sobie innego.

Powiedział to umyślnie z udaną obojętnością, aby nie poznali jak cierpiał.

Stara matka zamilkła. czekając dalszych objaśnień, ojciec. niemieszający się nigdy do niczego, oprócz gdy mógł usłużyć. patrzył z daleka na syna i głową kiwał. Pomimo przybranej obojętności, którą chciał okazać Jacek, widać było, że w sobie ciężkie strapienie ukrywa. Pocieszać go nie śmieli. ani by potrafili. Stękali z nim razem.

— Cóż teraz myślisz?—spytała matka.

— Nie wiem sam—rzekł Jacek —potrzeba by wrócić do Ks. Podkanclerzego i dalej pisać. ale po co? Jak do czego innego, tak i do tego ochoty brak..

Przegadali tak cały wieczór. potrzeba było coś postanowić. Jacek nie miał woli do niczego. Dopóki mu jakiś cel się w życiu uśmiechał, praca wszelka szła rażno, teraz i ona i życie mu ciążyło. Matka pierwsza postrzegła, że go trzeba z tego odrętwienia czemś wyrwać i zaczęła nalegać, aby do Warszawy powracał. Kobieta prosta miała ten rozum powszedni, nie obalamucony żadnemi ubocznemi względami i nałogami, który często widzi najjaśniej, w najtrudniejszych zadaniach.

— Juścić—rzekła — duszy dla jednej kobiety gubić nie będziesz. życia sobie nie odbierzesz, trzeba taki żyć, a jak żyć, to i coś robić na życie. Szukać nowego, to tam trudno, bo chybić łatwo; musisz powrócić do znajomych ludzi i do tego do czegoś nawykł.

Antoszek słuchał i głową potwierdzał, bo w rozum żony wierzył jak w ewangelią.

Jacek tedy trzeciego czy czwartego dnia, choć opieszale, zaczął się wybierać—i wyjechał.

Czekano go tam w kancelaryi nie z wielką pewnością, czy powróci. Ks. Podkanclerzy był prawie pewien, że ożeniwszy się. zagrzebie się na wsi; ks. Jezierski za nic nie ręczył. Bolano tylko, że go nie łatwo zastąpić przyjdzie, bo miał tę wielką zaletę, rzadko spotykaną u ludzi zdolnością obdarzonych, iż na swoją rękę i po swej myśli nie upierał się robić nic. Można się nań było spuścić, że wykona co mu polecono, nic nie dodając i nie ujmując.

Gdy się ukazał w owej izbie kancelaryjnej. gdzie się go już widzieć nie spodziewano, powitano go radosnym okrzykiem.

— Zmartwychwstał! — zawołał ks. Jezierski. szeroko ręce do powitania rozkładając.—Jakże? in cre-

dibile dictu. opuściles świeżo zaślubioną dla stawienia się do bibuły? E??

— Nie żenie się!—odparł smutnie Jacek.

— Jakto? cóż się stało?

— Nie przyjęto mnie—rzekł z pewną niechęcią do tłumaczenia się Jacek—nie ma o czem mówić.

Popatrzył na stół.

— Jest jaka robota?

— O! i pilna i nader pilna. jakbyś nam z nieba spadł. Siadaj i smaruj, a o losach swych rozpowiesz mi później.

Zadorski zaprzął się tedy do ciężkiej pracy znowu, a im ona była bardziej go pochłaniająca, tempożądańsza dla niego. bo się stawiała lekarstwem, często wprawdzie wśród pisania, pióro się zatrzymywało, myśl gdzieś biegła, i ks. Jezierski spojrzawszy nań, odgadywał, że biedak w przeszłości się zatapiać musiał. Nie przerywał mu tych rozmyślań, a gdy wielce pilno było, czasem tylko chrząknął lub poruszył się, aby go rozbudzić z marzeń.

Skończył się Sejm czteroletni. i Ks. Podkanclerzy z Warszawy musiał uchodzić, wprzód jednak miał czas zalecić Jacka do kancelaryi królewskiej, gdzie miejsce stałe otrzymał.

Lata płynęły przynosząc z sobą zmiany coraz głębiej wstrząsające starą Rzeczpospolitą, która nakoniec runęła. Jacek, zmieniając zajęcia, czasem żadnych nie mając. z niewielkim uzbieranym groszem. trzymał się ciągle w Warszawie, do której bruku przyrosnął. Ojciec mu był zmarł w 1794 r.. matkę wziął do siebie, sprzedawszy chałupę. Stara Maryś chodziła po kościołach. modliła się i po trosze pilnowała synowskiego gospodarstwa. Żyło się skromnie i cicho.

Jacek posiwał był przed czasem, ale zresztą trzymał się młodo i silnie. Praca kancelaryjna n sto-

lika. która najbardziej człowieka niszczy i łamie. nie zmogła jego silnej natury. Nie mając teraz za pruskich rządów nic do czynienia. przypatrywał się im z ciekawością widza, co lepsze czasy pamiętał. Kiedy książki jakiej brakło. szedł na miasto i napawał się gorzkim widokiem zmian. jakim niegła wprzód tak ożywiona stolica. Kilku starych znajomych ze dworn króla, jak on dziś bez zajęcia, składało kółko, w którym sobie po cichu legendy z niedawnych, a już w poetyczne barwy przystrojonych czasów opowiadano.

Wieczorem matka powracała z nieszpórów, on z przechadzki, rozmawiano trochę jeszcze i Jacek szedł do swojej izdebki na spoczynek.

Nie było to już życie. ale wegetowanie cierpliwe i nudne — dopóki — jak mówiła stara — nie zawołają, tam!

Jednego dnia powróciła matka wielce ożywiona z nieszpórów.

— Wystaw-że sobie. co mnie spotkało — rzekła do syna — zrobiłam znajomość z jakąś bardzo miłą i grzeczną osobą. kobietą średnich lat. i to wychodząc z kościoła.

— Bóg ją raczy wiedzieć — odezwała się stara — nawet mi nazwiska nie powiedziała. czy ja go nie dośłyszałam. bo tak byłam zdziwiona i poruszona, że przytomność straciła. Kiedym z kościoła wychodziła. w kruchcie. patrzę. idzie ta jejmość i patrzy mi się w oczy. patrzy. patrzy, nareszcie w progu powiada „przepraszam panią. czy nie pani Zadorska. matka pana Jacka?“ A tak. mówię jej, ale zkądże mnie pani zna? „Ja pani nie mam przyjemności znać, ale mi powiedziano...“ Zbliża się tedy do mnie.. czekam co dalej. Tu. wyczekawszy trochę. odzywa się: „Ja tu niedaleko mieszkam. jeśli laska. proszę do mnie na kawę, tam się rozmówimy.“ Coż. miałam jej odmówić. kiedy prosiła tak grzecznie; szłam tedy do domu jakiegos na Krakowskiem, mieszkanie bardzo porządne, sługa jeden, służąca. Zaraz kazała kawy podać. pro-

siła siedzieć. i gdyśmy. posiadały, a mnie ciekawosc niezmiernie piekla. zaczęła mówić, że jej familia koło Kodnia dawniej mieszkała. że ona Jacka widywała. że go bardzo dobrze pamięta. i wciąż pyta. co się z nim dzieje.

Jacek słuchał z natężoną ciekawością.

— Ale któż to może być? — pytał.

— Dalipan. nazwiska nie pamiętam: kobieta z panska wyglądająca, nie stara i bardzo grzeczna. Ale słuchaj-że co dalej. Wzięłam jej opowiadać całą historję twoją. rozumie się, co było można i co przez te lata się przygodziło. Słuchała. ciągle się we mnie wpatrując i pytaniom nie było końca. Na ostatek. że już się późno robić zaczęło. pożegnałam ją i poszłam.

Zamyślił się mocno Zadorski.

Nie sposób było odgadnąć, kto to mógł być taki.

Po kilku dniach staruszka znowu powiada:

— Widziałam tę jejmość w kościele. kłaniała mi się. Zdaje się, że nawet znowu miała ochotę mnie prosić do siebie, ale wyszła wcześniej. bo po co ja tam mam chodzić.

Zadorski głowę sobie łamał. kto to mógł być, i naostatek wpadł na myśl. że chyba dawna panna Rejentówna. która teraz z mężem w Warszawie mieszkała w pięknej kamienicy własnej. Nie bardzo był ciekaw ją widzieć.

Czas jakiś przeszedł, zagadywał Zadorski matkę o tę jej znajomość, ale stara głowę potrzasała, ramionami ruszała, nie mówiła nic. Tylko wieczorami zdawała się umyślnie naprowadzać rozmowę na dawne czasy i kilka razy wspomniała Łowczankę.

— Tego to ja odżałować nie mogę — mówiła, żeś ty się z nią nie ożenił, boć była przywiązana do ciebie.

Jacek milczał.

Masz ty do niej rankor w sercu? pytała.

— Ani rankoru ani miłości nie mam — odparł Jacek — choć mi ta kobieta całe życie zwichnęła...

Nigdy się rodzicom nie przyznawał, o co poszło. że się rozstali. zdziwiło go więc mocno, gdy matka

raz poczęła mówić wprost. jakby o wszystkim wiedziała:

— Nie tak to ona bardzo winna była — rzekła — choć się trochę uniosła, bo jej nie o siebie, ale też o rodziców chodziło. coby oni za wstyd mieli z tego. gdybyśmy byli z nieboszczykiem Antoszkciem na ślubie się pokazali.

— A matka zkaźde wie. że my o tośmy się poróżnili? — krzyknął Jacek zdziwiony.

— O! zachciałeś. powoliś mi się sam nieznacznie wygadał i ja się domyslałam.

— Jam się z tem mógł wygadać? — zapytał Jacek — ja!

— Ale ty... dajże pokój! zkaźdbym wiedziała?

Nie mógł Zadorski na żaden sposób sobie przypomnieć, gdzie, jak i kiedy się wygadał niepotrzebnie. Wstyd mu było za samego siebie.

Matka całą tę rozmowę zatarła jakoś i zagadała o czem innem.

W sam dzień śś. Piotra i Pawła, zażądała staruszka. aby syn z nią razem na nabożeństwie był u Bernardynów. Jacek chciał iść do ś. Jana. ale zawsze powolny dla matki, zgodził się iść. gdzie jej było przyjemniej... Gdy wychodzili z kościoła, stara się niespokojnie wpatrywała w syna.

— Mój Jacś — rzekła — jakbyś ty dobry był, tobys mnie odprowadził do tej znajomej jejmości. boć jej przyrzekła po mszy św. u niej być.

— A ja tam po co? — rzekł Jacek — nie znam jej, choćbym i znał. nie ciekawym odnawiać znajomość.

— Kiedy ja cię proszę, chodź tylko do progu — nalegała matka.

— Koniecznie?

— No... proszę.

Szedł tedy Jacek i dziwiąc się i śmiejąc, że stara miała fantazyę takie. Weszli razem do bramy. potem w lewo ku drzwiom, które się zaraz otworzyły. Na progu stała pięknego wzrostu kobieta czarno ubra-

na, której twarzy przeciw światła Jarek dojrzeć nie mógł.

Matka prawie gwałtem go pociągnęła. szepcząc.

— Ale bo... chodź.

Weszli oboje i — pomimo lat upłynionych tylu — poznał Zadorski stojącą przed sobą Łowczankę.

Nie była to owa żywa Basia lat dawnych. którą spotykał na grobli u krzyża. ale niewiasta życiem zmęczona. choć piękna jeszcze i z tą samą na twarzy energią męską. jak dawniej miała.

W jednej chwili z tą twarzą wróciły na pamięć wszystkie wspomnienia i uczucia lat dawnych. Jackowi krew nderzyła do głowy. stał niemy i pomieszany. aż Podsędkowa się odezwała:

— Cóż to. pan dawnych swych przyjaciół nawet znać nie chcesz? Już ci nie masz tak złego serca. abys w niem dotąd gniew chował...

I rękę mu podała. którą Zadorski pocałował z gorącością wielką; jednak mu mowa jeszcze powrócić nie mogła. Patrzył. patrzył i już mu obraz dawnej Basi z terażniejszą poczynął się w wyobraźni jednozyć, jak to się dzieje zwykle, gdy po długich niewidzenia latach. ludzie się spotykają znowu.

Zrozumiał to, dla czego żądając od niego rozgrzeszenia Łowczanka. przez jego własną matkę. przeciw której zawiniła. o nie się domagała; domyślił się, że i całą historję przeszłości. on taił przed staruszką. ona jej opowiedzieć musiała. Serce mu niezmiernie zmiękło; siadł. patrząc na nią jak w tęczę. Podsędkowa śmiechała mu się.

— Prawda, gdybyś mnie teraz spotkał w ulicy, nie wiedząc kto jestem. nie poznałbyś dawnej Łowczanki? — porzęła.

— Jako żywo, poznałbym pewnie! — przerwał Jarek — choć może w pierwszej chwili niebardzo bym był pewien. czy podobieństwo nie zwodzi.

— Jam dziś stara haba! — westchnęła Podsędkowa.

O męża. o dom. ani śmiał pytać Jacek. wtrącił tylko coś o Łowczym i o samej pani.

— Ojcu się zmarło bardzo rychło po... moim ślubie—
dodała spuszczać oczy — matkę dopiero w przeszłym
straciłam roku...

Stara Marys z uśmiechem niewypowiedzianego
szczęścia patrzyła to na syna, to na gospodynię, zda-
wała się niecierpliwą czegoś — posuwała się z krze-
słem. kręciła. jakby odejść chciała. a im nie prze-
szkadzać.

Zadorski nie śmiał ani spytać. ani nawet nazwi-
ska Podśedka wymówić.

— Cóż to panią sprowadziło do Warszawy?—zapy-
tał w końcu.

Basia się zarumieniła.

— Rady sobie nie umiem dać z interesami — rze-
kla — od czasu jak męża straciłam.

Jacek aż się rzucił na krzesło, kamień mu spadł
z serca. z Podśedkową musiał być, jako z kobietą za-
mężną, na stopie ceremonialnej. Teraz wracała Basia.
swobodna. a wracała mu przychylna i przeszłości pa-
miętna.

Jakby do reszty mu się chciała z położenia swe-
go wytnąć, dodała zaraz Podśedkowa:

— Dzieci nie mam, sama jedna jestem na świecie...

Z godzinę tak przesiedzieli. a gdy wreszcie Ja-
cek wstał się żegnać. zatrzymała rękę jego Basia.

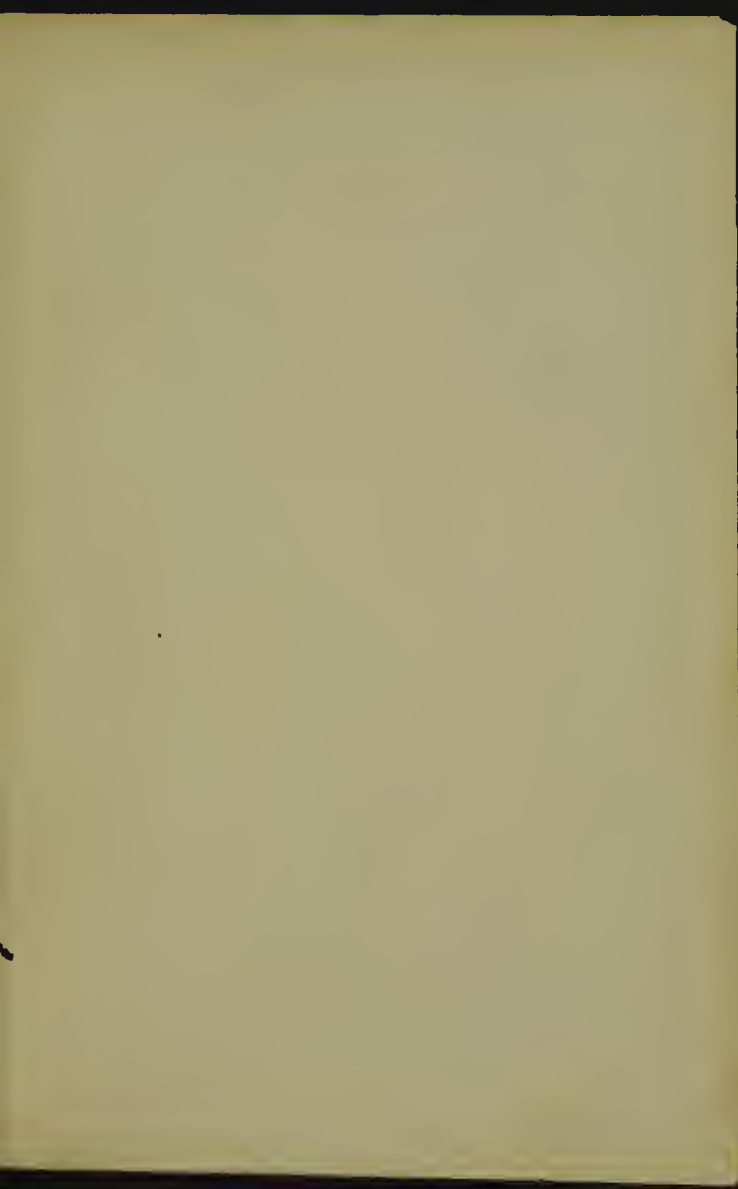
— Co będziemy się okłamywali — zawołała — jam
nie po co. tylko po was przybyła do Warszawy. Masz
jeszcze serce dla mnie. a zapomniałeś mi coś zawini-
ła, no. to bierz mnie i ruszajmy na wieś wszyscy, bo ja
tu w mieście dłużej nie wytrzymam!!

Tak się owa historia chama skończyła. wpraw-
dzie pod siwym włosem. ale bardzo szczęśliwie.

Jacek odżył, odmłodził. poweselał — a gdy po
ślubie z kościoła wychodzili. wzięwszy się pod ręce.
taka z nich jeszcze piękna była para. jakby im obojgu
przecierpiany lat dziesiątek odjęto.

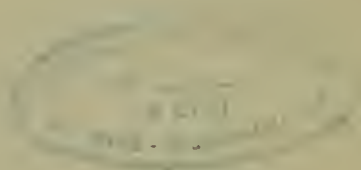


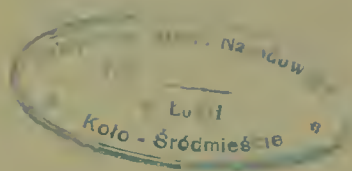




240 -

1851/2





Biblioteka Raczyńskich

JK2181



JK2181